

# VariArt

pismo kulturalno-literackie  
NR 02/2016 (31)



[www.wbp.olsztyn.pl](http://www.wbp.olsztyn.pl)



STUDNIA ŻYCIA



ISSN 2080-1483

BOBBY B. BARLOW

## Sądny dzień miłości czyli historia zabytkowo-traumatyczna

Był piękny lipcowy dzień. Siedziałem na ławeczce przy olsztyńskim sądzie i z zamkniętymi oczyma chłonałem żarliwe promienie słońca.

— Przepraszam, wolne? — zapytał starszy mężczyzna, wskazując na miejsce obok. Szybko wyprostowałem się i rozejrzałem dookoła. Pozostałe ławeczki były puste, więc wiedziałem, że ów człowiek potrzebował towarzystwa, a ja za chwilę zostanę uraczony historią.

— Tak, proszę — powiedziałem leniwie.

— Jest tak gorąco, jak wtedy, gdy palił się ten sąd — powiedział, wskazując na gmach remontowany za naszymi plecami. — Co prawda była wtedy zima, a do tego w ulicznych hydrantach było niskie ciśnienie, co strasznie utrudniało nam akcję. Pamiętam, że walczyliśmy z żywiołem od rana do północy. Piękny sąd za sprawą ognia i wody, którą wtedy laliśmy strumieniami, obrócił się w ruinę. Wybudowali później takie byle co, a teraz remontują i nie mogą skończyć.

— Nie wiedziałem, że nasz sąd się palił.

— Palił się i spalił. To było w 1976 roku. Byłem wtedy młodym strażakiem, a to była moja pierwsza tak poważna akcja pożarnicza. Ludzie o tym pożarze gadali różne rzeczy. Jedni mówili, że to podpalenie komorniczych akt, inni, że przypadkowe zaprószenie ognia, a jeszcze inni, że to była awaria instalacji elektrycznej. Ale prawda była inna.

Zamilkł, a ja nic nie mówiłem w obawie, że jakiegokolwiek moje słowo zniechęci go do opowiedzenia historii. Mężczyzna sapnął, pokiwał głową i zaczął.

— Teresa była piękna i zawsze uśmiechnięta. Wielu z nas marzyło o niej, jednak ona była zaręczona z Tadeuszem, aplikantem sądowym. Ponoć miał na imię Stanisław, ale bardzo nie lubił swojego imienia. Teresa nie kochała go. Wiem to od niej. To mi wyznała swoją miłość i ja też ją kochałem. Aplikant był dobrą partią, a Teresa pochodziła z biednej, wiejskiej rodziny. Ja byłem na dorobku, a on miał aspiracje. Zresztą później został sędzią. W tamtych czasach zerwanie zaręczyn z powodu miłości do innego było hańbiące. Sprawa wydawała się przesądzona. Jednak Teresa wyznała mi, że jest ze mną w ciąży i zostawi go dla mnie. Myśleliśmy o ucieczce do innego miasta, co w tamtych czasach było niezwykle trudne. Niestety stało się inaczej. Tamtego dnia jej narzeczony zadzwonił do mnie i powiedział, że wie o nas i o dziecku. Powiedział,

że skoro chcę ją mieć, to muszę ugasić żar jej miłości. Jeszcze wtedy nie wiedziałem, o czym mówi. Wezwali nas do pożaru sądu i od tamtej pory jej nie widziałem. Jestem pewny, że to on podpalił sąd, w którym zginęła moja ukochana Teresa. Zabawne, bo tak naprawdę miała na imię Marianna, ale bardzo nie lubiła swojego imienia, więc wszyscy wolałiśmy na nią Teresa.

— Przed moimi narodzinami — mówiłem ze łzami w oczach — moja mama pojechała do swoich rodziców na wieś. Tam się urodziłem. O moim ojcu mówili, że był strażakiem i zginął w wielkim pożarze, zanim przyszedłem na świat. Mama nigdy nie wyszła za mąż, a mnie zawsze brakowało ojca. Dała mi na imię Florian, chociaż wszyscy wolałi na mnie Jacek. A imię Florian wybrała na cześć patrona wszystkich strażaków. Bardzo nie lubiłem mojego imienia, aż do dzisiaj.

— Co się stało z moją Marianną? — zapytał, płacząc. Usta mu drżały i z trudem tupał powietrze. — Żyje?

— Nie wiem — odpowiedziałem niemal szeptem. — Moja mama miała na imię Halina, ale nie lubiła swojego imienia, więc wszyscy wolałi na nią Ania. Zmarła, gdy miałem piętnaście lat. Nie mogę być pańskim synem, bo urodziłem się dwa lata po tym pożarze, ale bardzo tego żałuję. Zawsze chciałem mieć ojca.

KONIEC

Barczewo, 3 lipca 2015 roku



Rys. Alicja Czerwińska — Państwowe Liceum Plastyczne w Olsztynie

W NUMERZE 02/2016:

**02 PROZA**

BOBBY B. BARLOW:

Sądny dzień miłości czyli historia zabytkowo-traumatyczna

**04 LITERATURA REGIONALNA**

KRZYSZTOF D. SZATRAWSKI: Wielki poeta z Mazur

**07 LITERATURA REGIONALNA**MONIKA KOWALEWSKA: Nagroda za *Nieobecność***08 WYWIAD**Przestałem wierzyć w obraz: z JANUSZEM POŁOMEM  
rozmawia KRZYSZTOF D. SZATRAWSKI**12 POEZJA**

EWA SONNENBERG

ARNO HOLZ

**15 GALERIA**

JANUSZ POŁOM: Pozostające obrazy

**18 HISTORIA PEWNEGO DOMU**

DANUTA NOWICKA: Piękna była zawsze

**20 RECENZJA**

ANITA ROMULEWICZ: Gdzie jest Teośka?

**22 WYWIAD**

MONIKA KOWALEWSKA: Opowieści z Warmii — szkoła

**24 INICJATYWA**

MARCIN WAKAR: Fenomen Pojezierza

**26 PROZA**

KAJA WILENGOWSKA: Jesteście na goodbye' u, a ja na głodzie

**28 POEZJA I PROZA**KATARZYNA MATWIEJCZUK: Drzewo Ananasowe — fragmenty  
Płatki - fragmenty**30 FILM**

MAREK BARAŃSKI: Mazury nominowane do Oscara

**31 WIEK MĘSKI**

WALDEMAR TYCHEK: Polityka jest kobietą

Dostarczała wodę przez kilka tysięcy lat. Studnia w libańskim Byblos — życiodajne miejsce, miejsce spotkań, wymiany wiadomości, myśli, spojrzeń. Dziś także potrzebujemy życiodajnej studni. Dla każdego z nas jest nią jednak coś innego. Dla Erwina Kruka jest to kraina mazurska, o czym przeczytamy w eseju Krzysztofa D. SzatrAWSkiego. O tym, że Mazury są źródłem przynoszącym nominacje do Oscara, zapewnia Marek Barański. Dla innych życie nie miałoby głębi bez inicjatyw — działalność SSK „Pojezierze” przybliży Marcin Wakar. Arno Holz zaś, niemiecki poeta urodzony w Kętrzynie, przekonuje nas, że, oprócz wody, do życia potrzebujemy także uczuć, czemu wyraz daje, w swoich „Wierszach o miłości”. Zaglądając w głębinę studni Monika Kowalewska odkrywa warmińskie korzenie, a najpiękniejsza kamienica w Olsztynie, dzięki historii Danuty Nowickiej, odkrywa swoje drugie, bardziej intymne dno. W budowaniu tożsamości i poczucia przynależności pomogą nam fotografie Janusza Połoma, w których będzie można przejrzeć się niczym w tafli wody. Nie zabraknie też fatamorgany w postaci utworów Katarzyny Matwiejczuk, Ewy Sonnenberg czy Bobbiego B. Barlow.

Aby nie wyschło nasze źródło i studnia była zawsze pełna  
czerpiącym życzy

Redakcja

VariArt  
VariArt. Pismo kulturalno-literackie. ISSN 2080-1483  
Nr 02/2016 (31)

Wydawca:  
Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Olsztynie  
10-117 Olsztyn, ul. 1 Maja 5; tel. 89 524 90 32; e-mail: wbp@wbp.olsztyn.pl

Współwydawca:  
Warmińsko-Mazurskie Stowarzyszenie ARESZT SZTUKI  
www.aresztsztuki.republika.pl; e-mail: aresztsztuki@gmail.com

Zespół redakcyjny:  
Iwona Bolińska-Walendzik, Joanna Cieślińska, Maja Dzieciątek, Monika Kowalewska,  
Krzysztof D. SzatrAWSki  
e-mail: variart@wbp.olsztyn.pl

Grafika: Przemek Kozak, skład: Patrycja Zdanewicz  
Druk: „Gutgraf” Zakład Poligraficzny Marian Świniarski Olsztyn

Zrealizowano przy współudziale finansowym  
Samorządu Województwa Warmińsko-Mazurskiego





KRZYSZTOF D. SZATRAWSKI

## Wielki poeta z Mazur

Kiedy na początku roku 2015 Erwin Kruk podczas zebrania olsztyńskiego oddziału SPP zapowiedział, że kończy pracę nad najnowszym tomem wierszy, plan wydania kolejnej, czwartej serii Biblioteki Autorów Warmii i Mazur nabrał znaczenia. Na tę książkę czekaliśmy dziesięć lat. Przesłany przez poetę tekst już od pierwszych stron ukazywał, jak owocne było to oczekiwanie. Otrzymałmy książkę poetycko piękną i poruszającą, wypowiedź filozoficznie mądrą i spokojną. Zawarte w niej utwory układają się w cykl, który nawet nie pretenduje do roli, którą przecież wypełnia. Jak wiersz *Nic nie jest skończone*, który porusza skromnością formy i głębią myśli:

Nie gromadź dóbr,  
Pomnażaj dobro.

I gdy nie będzie już ciebie,  
Może na chwilę  
Czyjaś czuła pamięć  
Pobiegnie za tobą  
Wśród lasów i wzgórz  
I przytuli się do porzuconego cienia,  
I podejmie pieśń dziękczynną,  
którą kiedyś nuciłeś w drodze.

Bo nic nie jest skończone.

To nam, istotom śmiertelnym,  
Niekiedy zdaje się, że bez nas,  
Krzążących się wokół życia,  
Świata nie może się nic udać.

Jest to pierwszy wiersz tomu *Nieobecność*. Książka ukazała się w końcu 2015 r. jako pozycja otwierająca czwartą serię Biblioteki Autorów Warmii i Mazur Stowarzyszenia Pisarzy Polskich i niemal natychmiast stała się wydarzeniem literackim. Sława *Nieobecności* w kolejnych miesiącach roku 2016 zataczała coraz szersze kręgi, przynosząc obchodzącemu 75-lecie twórcy wyrazy uznania i szacunku.

Erwin Kruk jest poetą i pisarzem mazurskim, Mazurom bowiem, ich niełatwej historii, kulturze, ludzkim losom i tożsamości poświęcił niemal wszystkie swoje teksty. Od debiutu postrzegany jako piewca mazurskiego losu, zanurzając się w przeszłości, konsekwentnie zmierzał do uchwycenia istoty ludzkich relacji i postaw wobec historii. Jego wkład w budowanie przestrzeni wartości jest bezsporny. Również w tej perspektywie postrzegać należy szereg nagród, jakie po wydaniu ostatniej książki pt. *Nieobecność* przyznano poecie – zarówno za sam tom, jak i za całokształt działalności: Poznańską Nagrodę Literacką im. Adama Mickiewicza, Medal im. księdza Jana Twardowskiego, Literacką Nagrodę Warmii i Mazur „Wawrzyn”, Nagrodę Orfeusza Mazurskiego... Ukoronowaniem tych osiągnięć było przyznanie Erwinowi Krukowi tytułu doktora honoris causa Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego. Promotor doktoratu prof. Zbigniew Chojnowski w wygłoszonej laudacji stwierdził m.in.:

„Erwin Kruk na Mazurach był i jest od zawsze, był i jest wierny sobie; oparł się presji, aby porzucić swoje rodzinne strony. Jego aktywnością twórczą rządził i rządzi ten sam obowiązujący w świecie nauki i literatury imperatyw – wola bezinteresownego poszukiwania prawdy o człowieku i jego otoczeniu w nurcie wciąż pędzącego czasu. Twórca ponadto doskonale wie, że: «Poezja aby była sobą / musi dialog toczyć z prawdą». Dorobek Erwina Kruka, nieprzeciętnie utalentowanego: poety, pisarza, eseisty, publicyści, tłumacza, a jednocześnie wybitnego społecznika, jest wyjątkowo doniosły i znaczący ze względu na ludzki i etyczny ciężar podjętych tematów. Były i są one kluczowe nie tylko w kontekście powojennej historii Warmii i Mazur, przemian Polski, które nastąpiły po 1980 roku i trwają aż do dziś. Erwin Kruk od bez mała sześćdziesięciu lat pisze «pamiętnik artysty – / Ogryzmołony i w siebie pochylon – / Obłądny!... ależ – wielce rzeczywisty!»

Mimo że działalność naukowa i edytorska stanowi jedynie cząstkę dokonań Erwina Kruka, to zarówno jego twórczość pisarska, jak i bezpośredni udział w życiu społeczno-kulturalnym miały i mają ogromną siłę inspirującą badania regionalistyczne w zakresie nauk humanistycznych i społecznych”.

Z podobnej perspektywy postrzega dokonania poety recenzent doktoratu h.c. prof. Janusz Matłek, stwierdzając, że „twórczość Erwina Kruka stawia go w szeregu tych pisarzy, dla których Mazury były kolebką – jak Ernst Wiechert, Siegfried Lenz czy Robert Budzyński, ale także wśród tych, na których Mazury wycisnęły wyraźny ślad, jak: Konstanty Ildefons Gałczyński, Eugeniusz

Paukšta, Igor Neverly czy Agnieszka Osiecka. Jego działalność polityczna, społeczna, literacka i publicystyczna zmierzała do tego, aby nowe społeczeństwo naszego regionu, które ma już 70-letnią metrykę, nawiązało do dorobku kulturalnego Mazurów i Warmiaków. Jego twórczość stanowi trwały wkład do skarbca polskiej literatury”.

Znaczenie tekstów Erwina Kruka w literaturze polskiej przekracza granice tematyczne i geograficzne. Nawet domagający się szczególnej uwagi wątek historyczny nie jest przecież jedynym obszarem, w którym to znaczenie powinno się rozpatrywać. Z jednej strony pogrążona w dyskursie dotyczącym historii, z drugiej wybiegająca w transcendentną wobec historii wiedzę o rządzących światem mechanizmach twórczość Kruka staje się doświadczeniem i punktem odniesienia dla przyszłych pokoleń. Ten punkt widzenia, obejmujący szerokie perspektywy czasowe, wypuklił w swej recenzji prof. Jarosław Ławski:

„W liryce i prozie zapisuje on ciągłe, ale jakby niedostrzegalne zamieranie kultur takich, jak mazurska, warmińska, dla których między Śródziemnomorzem a mityczną Północą europejską, między pogaństwem a chrześcijaństwem, między plemiennością a narodowością zabrakło miejsca. Ich ludowa kultura uległa zmianie – niezmienny i nienaruszalny pozostał tylko moment wieczny mazurskości: natura krainy, do której odnoszą się kolejne przybywające tu ethnosy, konfesje, języki, tradycje. Kruk rejestruje – czasem refleksyjnie opłakuje – kolejne burze historyczne, lecz nade wszystko doświadczenie bezszelstnego znikania Mazurów i ich kultury ujętego w zdradliwe metafory-eufemizmy: przesiedleń, wysiedleń, emigracji, wyjazdu, łączenia (rodzin), migracji (zarobkowej). Jego wizję historii określają wielkie mity kultury, jednak jego obraz współczesności zapisuje się w tym niespektakularnym dramacie, tragedii znikania-wyniszczania mazurskości. Słowami samego Kruka, odnoszącymi się i do jego przyjaciół, i do bohaterów lub «ja» lirycznego: «Mazurskość była jego losem».

Po drugie, Krukowi udaje się przecież i coś więcej: wniesienie tematu mazurskiego do ponadregionalnego dyskursu kulturowego o Polsce, jej modelu kultury, w którym chyba jednak niemożliwe okazało się zdobywanie w procesie edukacji tożsamości równocześnie polskiej i mazurskiej. Jest to też rozmowa Kruka o «pograniczności», «pograniczach», których nie chce on sprowadzać do poziomu rozgrzeszającej przeszłość metafory (śmierć świata Mazurów) albo utopii przyszłości (Atlantyda, którą godzą, pielęgnować i konserwować mitem odkrywcy z innych kulturowo światów). Zarazem ów głos z Północy i inne współczesne głosy ze Wschodu wyraźnie pozwalają rozpoznać w pojałtańskiej Polsce zapoznaną jej kulturową różnorodność, duchową wielokształtność, która z jednej do drugiej formy znajduje przejście, pomost w języku – polskim. Kruk – pisarz mazurski i polski – jest po prostu artystą, który wszystkie te

tematy wnosi do ogólnopolskiego panteonu kultury”.

Jak każda ambitna literatura, poezja i proza Erwina Kruka, ale też jego eseje domagają się pogłębionej lektury. Perspektywa estetyczna czy nawet filozoficzna nie pozwala objąć całości zawartego w niej bogactwa. Należy ją rozpatrywać także z punktu widzenia zachodzących procesów społecznych. Przypomniał o tym w swej recenzji prof. Andrzej Sakson:

„Erwin Kruk to najwybitniejszy pisarz mazurski, którego dokonania porównywane są z dziełami innych prozaików urodzonych na Mazurach: Ernstem Wiechertem, autorem *Dzieci Jerominów* oraz Siegfriedem Lenzem, twórcą *Muzeum ziemi ojczystej*. Strażnik mazurskiego dziedzictwa kulturowego pierwszy tom poetycki pt. *Rysowanie z pamięci* opublikował w 1963 roku. Kolejne zbiory poetyckie: *Zapisy powrotu* (1969), *Moja Północ* (1977), *Powrót na wygnanie* (1977), *Z krainy Nod* (1987), *W cieniu* (1988), *Znikanie* (2005) oraz *Nieobecność* (2015) cieszyły się zasłużonym uznaniem krytyków i czytelników, były wielokrotnie nagradzane i wyróżniane. Wysoko ceniona jest także twórczość prozatorska. Dotyczy ona pogmatwanych losów Mazurów. Dramat dezintegracji i rozpadu społeczności, z której wywodzi się Erwin Kruk, ukazany jest w kontekście uniwersalistycznych prawidłowości dziejowych. Trudne wybory, przed którymi stali ewangelicy Mazurzy, nazywani autochtonami, ludnością rodzimą czy też „tutejszymi”, przejmującą ukazane są w takich powieściach jak: *Drogami o świecie* (1967), *Na uboczu święta* (1967), *Rondo* (1971), *Pusta noc* (1976), *Łaknienie* (1980), *Kronika z Mazur* (1989) – uchodząca za najwybitniejsze osiągnięcie prozatorskie – czy też Spadek. *Zapiski mazurskie 2007-2008* (2009). Erwin Kruk jest m.in. laureatem Wawrzynu 2005 – Literackiej Nagrody Warmii i Mazur, Nagrody Literackiej im. Władysława Reymonta – Książka Roku 2010 oraz wielu innych ważnych nagród literackich. Poczucie osamotnienia, krzywdy, obcości i wykluczenia wpisuje się w regionalizm tragiczny, stale obecny w piśmiennictwie Erwina Kruka. Wynika on z historii, tradycji, zwyczajów i obyczajów oraz współczesnych przemian dokonujących się na Warmii i Mazurach”.

Filozoficzny dystans i wrażliwość humanisty pozwalają poecie odnaleźć równowagę pomiędzy pamięcią i współczesnym systemem wartości. W jego racjonalizującym ujęciu wydarzenia historyczne jawią się jako uniwersalna przypowieść, ale zarazem dokumentują indywidualne losy ludzi. Takiej wizji historii autor *Nieobecności* poświęcił liczne eseje, wśród których szczególną wartość ma najnowszy, powstający w czasie pracy redakcyjnej nad tomem *Nieobecność*, zatytułowany *Moja krzątanina wokół domu*. Dwa fragmenty tego eseju zostały opublikowane w almanachach Olsztyńskiego Oddziału SPP w latach 2015 i 2016. Dopelnieniem tekstu poświęconego badaniom historii rodzinnej stał się wykład odczytany podczas uroczystego wręczenia doktoratu

w dniu Święta Uczelni, 1 czerwca 2016 r. Erwin Kruk rozstrzyga w nim między innymi fundamentalne kwestie dotyczące oceny procesów historycznych i społecznych:

„Dla tych, którzy na Warmię i Mazury przybyli po wojnie, na ogół nie był to krajobraz bliski. Uwarstwienie historyczne i odmienność dziejów już na pierwszy rzut oka budziły potrzebę emocjonalnego stosunku, a często i potrzebę sprzeciwu. Potoczne wartościowanie obejmowało zarówno sposoby bytowania ludzi, jak i ocalałą po zniszczeniach infrastrukturę. Na ogół ów pierwszy ogląd nie wykraczał poza stwierdzenia, co w tym krajobrazie jest swojskie, a co obce. Rozpoznawalne znaki swojskiej kultury mimo wszystko stanowiły tylko cieniutką warstwę swojskości. Aby zaanektować ten krajobraz dla siebie, a przynajmniej nadać mu swojskie rysy, trzeba było go zmienić i na nowo nazwać, uczynić go mniej drażniącym. Ten proces nie odbywał się bez chęci poprawiania przeszłości w krajobrazie i dziejach. Mniejszą uwagę zwracano przy tym na całościowy rozwój i towarzyszące mu procesy historyczne. Wydobywano z przeszłości raczej te elementy dziedzictwa, niekiedy zresztą wyolbrzymiając ich znaczenie, które mogły świadczyć o ciągłości także polskiej kultury. Jednocześnie podejrzliwie traktowano tych, którzy zostali na miejscu, a którzy mową, zachowaniem, ubiorem, zwyczajami, sposobem gospodarowania dawali wyraźne dowody na to, że nie są tacy sami jak my.

Nie było mowy o dialogu kultur, raczej następowało zderzenie i niwelowanie tego, co stanowiło o tożsamości nie dość swojskiego regionu. Z perspektywy lat, gdy bez większych emocji spoglądamy na obraz naszej krainy, mimo wszystko nie jest łatwo ocenić i wskazać składniki regionalnej tożsamości. Są nimi, jak w każdym regionie, elementy regionalnego wkładu w ogólnonarodowe

dziedzictwo. Każdy, na miarę swej wrażliwości i wiedzy, może wyliczać inne zjawiska, fakty czy dzieła. Coraz powszechniej mówi się, że atutem naszego regionu jest różnorodność kulturowa. To jest pewien potencjał, raczej nie rzutujący na całokształt życia, ale świadczący o naszym stosunku do historii i współczesności. Najogólniej mówiąc, zgodziliśmy się na to, że w naszym regionie narastały i zrastały się ze sobą różne warstwy kultury”.

To zdanie szczególnie istotne, przeciwstawiające przekłamywaniu historii możliwe i coraz bardziej konieczne pojednanie ponad różnicami. W konkluzji wykładu poeta zawarł przesłanie, którego głęboki wymiar moralny i społeczny każe nam jeszcze raz spojrzeć na przytoczony na wstępie wiersz:

„Mimo trudnych doświadczeń XX wieku społeczność regionu przejawia tolerancję i otwartość. Kto dostrzega, że wokół żyją inni, musi sobie uświadomić, że sam również jest inny. To także potwierdza ważność kultury. Przede wszystkim kultura tworzy podstawę naszej tożsamości, a ona nie jest dana raz na zawsze. Jest to jednak jej decydujące zadanie. Toteż upowszechnienie i rozwój kultury, tworzenie warunków dla twórczości, dbałość o dziedzictwo, a także dostrzeganie tej dziedziny życia w działalności samorządowej, trzeba rozpatrywać jako tworzenie nowego obrazu wspólnoty regionalnej. I trzeba być wrażliwym na funkcje, normy i wartości, które są składnikami więzi między ludźmi i mają wpływ na zbiorową świadomość. Dla społeczeństwa bowiem celem organizowania się jest rozwój życia ludzkiego w kulturze. To ona ukazuje sens ludzkiej pracy”. Te znamienne i głębokie słowa, wpisując się w trudną historię i w niepokoje współczesności, przywracają działaniu społecznemu sens twórczy i odpowiednie proporcje, jakby chciały przypomnieć, że z perspektywy „krzątających się wokół życia” są to sprawy niezmiernie ważne.

## MONIKA KOWALEWSKA

### Nagroda za *Nieobecność*

Erwin Kruk — jeden z najwybitniejszych poetów Warmii i Mazur. Pisarz, tłumacz, dziennikarz, publicysta, orędownik zachowania kultury mazurskiej. Jego nazwisko można umieścić w jednym szeregu z takimi pisarzami jak Ernst Wiechert czy Siegfried Lenz. Na życie pisarza składało się wiele znaczących działań i wybitnych osiągnięć. Ten bogaty dorobek z pewnością kształtował go jako człowieka i pisarza, a jednak to nie on stanowi trzon jego twórczości. Źródła leżą głębiej. Tuż przy korzeniach. Teksty naznaczone są tęsknotą za światem, który odszedł. Wspomnieniem, pamięcią miejsc i ludzi, ale i wolnością i sztuką. Są także próbą odbudowania tradycji ziemi ojców. Poszukiwanie tożsamości staje się odtwarzaniem pamięci indywidualnej i zbiorowej Mazurów. Wspomnienia nie są tu jednak siłą niszczącą, ale ocalającą i stymulującą wyobraźnię literacką. Ważna staje się także emocjonalność i szczerłość przekazu, ekspresja. Całą twórczość poety można ułożyć według tropów, które pozostawił czytelnikom w tytułach kolejnych wydawnictw — *Moja Północ*, *Powrót na wygnanie*, *W cieniu*, *Znikanie*, a w końcu *Nieobecność*. Są to hasła wyznaczające świat poetyckiego poznania autora. Erwin Kruk wydał sześć powieści oraz dziewięć tomów poetyckich, a także zbiory esejów oraz opracowania historyczne dotyczące Warmii i Mazur oraz ewangelików w Olsztynie.

W mijającym roku laureat otrzymał wiele wyróżnień. Był to między innymi tytuł honorowy doktora honoris causa UWM w Olsztynie nadany za tworzenie prawdziwego, sumiennego i wielowymiarowego obrazu ziemi warmińsko-mazurskiej oraz upowszechnianie go na forum ogólnopolskim, za budowanie tożsamości i rozwój dziedzictwa kulturowego regionu w wymiarze uniwersalnym, za trwające pół wieku skuteczne inspirowanie badań regionalistycznych w zakresie nauk humanistycznych i społecznych oraz za piękne owoce działań podjętych z myślą o dobru wspólnym społeczeństwa Warmii i Mazur, Polski i Europy. Rok 2016 był dla pisarza wyjątkowy także ze względu na wydany rok wcześniej tom poezji *Nieobecność*, który został doceniony w całym kraju. To właśnie na tę pozycję pisarz otrzymał Wawrzyn — Literacką Nagrodę Warmii i Mazur. Decyzję o przyznaniu Wawrzyn co roku podejmuje Kapituła powołana z inicjatywy Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Olsztynie. Podstawą rozpatrzenia przez Kapitułę zasadności nagrody jest biograficzny, tematyczny lub twórczy związek książki z regionem Warmii i Mazur. Wręczenie

nagrody odbyło się podczas dwunastej gali Wawrzynu, która miała miejsce w Starym Ratuszu WBP 18 maja 2016 r. Tomik *Nieobecność* otrzymał także inne prestiżowe wyróżnienie, jakim była Nagroda im. Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego Orfeusz Mazurski za najlepszy tom wydany w Polsce północno-wschodniej (Warmia, Mazury, Podlasie). Była to piąta odsłona tej nagrody, przyznawanej przez Muzeum Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego w Praniu i Stowarzyszenie Leśniczówka Pranie za wybitne osiągnięcia współczesnej polskiej liryki — oryginalne, zachowujące bezpośredniość wyrazu, bezkompromisowe pod względem artystycznym. Wyjątkową wartość poezji zawartej w najnowszym dziele Kruka potwierdziła także Poznańska Nagroda Literacka im. Adama Mickiewicza za dorobek literacki, w tym za ostatni tomik poetycki. Przewodniczący jury prof. Śliwiński stwierdził, że, choć nazwisko Erwina Kruka nie jest znane szerokiej publiczności, dla wielu jest on klasykiem, szczególnie dla osób zainteresowanych literaturą pogranicza polsko-niemieckiego, Polski współczesnej i Polski historycznej. Przewodniczący jury podkreślał także, że tym, co najbardziej zachwyca w twórczości 75-letniego autora jest nadzwyczajna prostota jego dzieł. Podsumowaniem dorobku poety była Nagroda Literacka im. ks. Jana Twardowskiego za całokształt twórczości. Medal przyznany został już po raz drugi podczas uroczystego wręczenia nagród, które odbyło się w Pałacu Sokoła w Pruszkowie. Erwin Kruk został także odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski za współtworzenie nieuznanego przez władze Mazurskiego Zrzeszenia Kulturalnego oraz Krzyżem Wolności i Solidarności nadawanym działaczom opozycji wobec dyktatury komunistycznej w PRL. Tak bogaty dorobek literacki oraz szeroka działalność związana z podtrzymywaniem i propagowaniem kultury mazurskiej zasługuje na uznanie, czego potwierdzeniem są wszystkie nagrody i wyróżnienia, także te przyznane w 2016 r., których serdecznie gratulujemy.

E. Konończuk, *Mazurska opowieść Erwina Kruka*, Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza, Oddział Białostocki, Białystok 1993.

*Z dróg Erwina Kruka*, red. i wpraw. Z. Chojnowski, Polskie Towarzystwo Czytelnicze, Oddział w Olsztynie, 2006.

Fot. Krzysztof D. Szatrawski



Z JANUSZEM POŁOMEM O FOTOGRAFII, SZTUCE I SPOŁECZEŃSTWIE ROZMAWIA KRZYSZTOF D. SZATRAWSKI

## Przestałem wierzyć w obraz



Fot. z archiwum J. Połoma

**Zacznijmy od tego, że fotografia jest już sztuką nie tyle naśladowania rzeczywistości, co sztuką patrzenia na rzeczywistość. Czy zgodziłbyś się z takim stwierdzeniem?**

Nie do końca bym się z tym zgodził. Fotografia jest sztuką patrzenia na rzeczywistość w swoim kreatywnym nurcie, bo to jest kwestia, jak my tę rzeczywistość poprzez aparat interpretujemy. Jednak nad fotografią ciąży wciąż jeszcze mimetyczność, mamy takie założenie zakodowane mentalnie, że fotografia coś pokazuje. I widz, taki przeciętny widz, ogląda fotografię. Jestem generalnie za tym, żeby fotografia raczej mówiła, fotografia ma mówić obrazem, nie tyle pokazywać, co mówić. I to jest pierwsza bardzo istotna rzecz. Drugą jest to, że fotografia ostatnio rozlała się tak szeroko, że wytworzyła, kompletnie niezależne od różnych teorii, własne przestrzenie, w których jest całkowicie odmiennie interpretowana, odgrywając przy tym różne funkcje, których wcześniej nie odgrywała, na przykład komunikacyjną na różnych facebookach. Wchodzimy – i tu się powinieliśmy zgodzić – w okres już nie tekstolatrii a ikonolatrii. Łatwiej jest komuś pokazać zdjęcie, niż pół godziny opowiadać, jak ktoś szedł po schodach w jakiejś wieży we Florencji.

**Ale też łatwiej jest manipulować.**

Przed wszystkim fotografia jest zawsze bardziej sugestywna, fotografii się wierzy. Nie mówię o przypadkach fałszerstw fotograficznych, można by

mnożyć przykłady wybitnych fotografów fałszujących zdjęcia, nie chcę w to wchodzić, bo to są takie preteksty do tego, by udowodnić, że fotograficy manipulowali. Oczywiście od początku manipulowali, retuszowali...

**Cała sztuka jest manipulacją...**

Tak! Natomiast jeśli przyjmujemy za pewnik, że foton odbity od przedmiotu wędruje do aparatu i że to coś, co jest na zdjęciu, było przed aparatem, to możemy przyjąć również za pewnik, że większości fotografii należy wierzyć.

**Nawet tym, które są zmanipulowane czy poddane daleko posuniętym retuszom?**

Tak! To zawsze da się znaleźć, majstrowanie przy fotografii prędzej czy później po prostu się odkryje. Mówiło się, jakoby fotografia cyfrowa spowodowała, że nie da się udowodnić, że ktoś przy fotografii coś tam robił. Wydaje mi się, że można to absolutnie wykrzyć. Istotne jest to, że fotografia ciągle jest używana – w dowodzie mamy zdjęcia, ściganym mordercom robimy zdjęcia, w paszporcie mamy zdjęcia...

**Mamy zdjęcia w mediach społecznościowych, czasami pamiątkowe zdjęcia robią nam fotoradary...**

Tak jest! Po prostu zdjęcie przyjmujemy jako pewnik.

**Ale w fotografii artystycznej ta funkcja mimetyczna z czasem ustępuje miejsca pytaniom nie o to, co można było w określonym miejscu i o określonej porze zobaczyć, ale co wynika z tego, że my to widzimy...**

Przed wszystkim fotografia jest zapisaną historią.

**Pytam o to nie bez powodu, chciałbym bowiem nawiązać do Twojej ostatniej wystawy, która pozornie pokazuje tylko rzeczywistość, ale odbiorcy widzący tę rzeczywistość są najwyczejniej oburzeni, albowiem to, co widzą, w żaden sposób nie daje się pogodzić z tym, co byliby gotowi zaakceptować.**

To jest kwestia przymuszenia widza, aby przestał być tylko oglądaczem i jednak zastanowił się nad tym, co kto ma do powiedzenia. W moim przypadku sytuacja była jasna, zaangażowałem się bowiem całkowicie i obsesyjnie w taką moją nową drogę – postanowiłem, że na ile tylko będę mógł, będę walczył o pejzaż, który nas otacza, żeby zachować cenne rzeczy, wśród których żyjemy, żeby nie dewastować środowiska. I nie ma to nic wspólnego z wojną ekologiczną, jaką toczy Greenpeace. Chodzi mi bardziej o to, by ludziom uświadomić, że to, co wydaje się wieczne i trwałe, za chwilę zostanie kompletnie zdewastowane i pokolenie naszych wnuków nie będzie mogło tego

zobaczyć. Krótkowzroczność myślenia, doraźność ogranicza się do tego, co mamy dzisiaj, a to, co nas otacza, ma przecież służyć iluś pokoleniom.

**Obraz świata zmienia się od początku. Czy nie jest tak, że człowiek tylko te zmiany przyspieszył?**

Miałem przygodę wczoraj, ciekawą. Jechałem z Warszawy pociągiem. I tak, jak wyróżyłem w moich zdjęciach, tnie się te lasy, aż huczy. Tnie się wszędzie. Jeszcze niedawno od Nidzicy pociąg wjeżdżał w słynne lasy i po nich poznawało się, że kończy się Nizina Mazowiecka, że wjeżdżamy w lasy Warmii i Mazur, a teraz nagle się okazało, że przy torach lasów już w ogóle nie ma. I przez najbliższe osiemdziesiąt lat przy torach tych lasów nie będzie. I nic nie zmieni, że leśnicy sadzą małe sadzonki – przez osiemdziesiąt lat nie będzie tego widać. Nie chodzi zresztą tylko o lasy, chodzi o podejście do tego, co nas otacza! To jest oburzające. Przed chwilą widziałem jakiś koszmar, który ma stanąć przy planetarium, jakiś budynek idiotyczny, który będzie miał bodaj 20 pięter i Olsztyn ma się tym szcycić. Rozpacz człowieka ogarnia nad poczuciem estetyki i poczuciem piękna, jakie mają niektórzy decydenci-urbanisci czy też przeróżni właściciele linii brzegowych budujący swoje domy nad jeziorami. Cały nasz region generalnie jest zabudowywany chaotycznie i bez jakiegokolwiek urbanistyczno-architektonicznej koncepcji. Dotyczy to również Olsztyna.

**Zatem sztuka miałaby wystąpić w roli wychowawcy?**

Sztuka ma po prostu walczyć z takim zabagnianiem przestrzeni wokół nas, z zaśmiecaniem jej obiektami bez gustu, które poza pokazywaniem, ile mamy pieniędzy, nie mają żadnej estetycznej ani jakiegokolwiek innej wartości.

**W Twoim filmie *Mala yerba* jest taka scena, kiedy wracasz z Meksyku i idziesz przez pokryte lodem jezioro, przez białą równinę. Jest to niezwykle poruszająca scena, w której przepychowi Ameryki, bo Meksyk jest pełen przepychu...**

Meksyk jest barokowy, powiedziałbym nawet...

**...i temu barokowemu przepychowi przeciwstawiona jest północnoeuropejska surowość, wstrzemięźliwość...**

Ależ myśmy się tym szcycili przez cały czas! To jest stała cecha, tu po prostu tak jest...

**Na ile zatem to zderzenie dwóch tak różnych światów, Ameryki i Polski, warunkuje Twoje spojrzenie, którego efektem jest ostatnia wystawa – prace, które próbują reagować na rzeczywistość czy wręcz ją prowokować?**

Mam pewną koncepcję, jak to, co nas otacza, powinno wyglądać. Jest w niej bardzo mocno osadzona moja intuicja, która automatycznie rodzi pytanie: jakie wartości będziemy wspominać po czasie, w czym myśmy się wychowali

i co w nas zostaje z czasem albo które wartości dla nas w określonym momencie naszego życia są najistotniejsze. I co będziemy wspominać, kiedy będziemy w wieku bardzo dojrzałym, jaki obraz będziemy mieli, oglądając się wstecz, czy będzie to obraz slumsów w Los Angeles czy brazylijskich faveli, czy też będziemy mieli obraz krystalicznie czystej wody, w której łowiliśmy ryby w jeziorze na Warmii i gdzieśmy żyli w nieskazitelnej przyrodzie, której za chwilę miał nie być! Wędkarze się śmieją, że za chwilę będą jeździli na ryby do Norwegii. I to nie są żarty, to są konsekwencje – nie dla nas, nas to nie dotyczy, nasze wnuki za to zapłacą, bo już tego nie będą miały. To są poważne rzeczy!

**A przecież nie jest to tylko dewastacja krajobrazu...**

To jest dewastacja krajobrazu, dewastacja naszych obrazów z dzieciństwa. To jest dewastacja obrazów, które zostały w naszej pamięci. Pozostaną tylko jakieś facebookowe obrazki, selfiki...

**Ale czy to nie jest efekt zjawiska szerszego, które kiedyś określiłeś jako „kraj z tektury”?**

Tak. Odnoszę wrażenie, że Polska to jest kraj z tektury. Dykta jest wszędzie.

**Czyli kraj, który jest dekoracją?**

Absolutnie. Dykta i atrapa jest wszędzie. W myśleniu też jest atrapa, nawet jeśli coś jest prawdziwe, to w tym kontekście, tak, jak jest pokazywane, też staje się tekturą. To jest szerszy problem, natomiast można powiedzieć, że wynika to z mentalności powierzchownego wyglądu elegancją. Coś jest eleganckie, ale kiedy się przechodzi poza dekorację, to okazuje się tylko filmową dekoracją. Mówię metaforycznie, bo to dotyczy płaszczyzny: myślenia, ukształtowania kulturowego, uczuć, marzeń, preferencji estetycznych i przedmiotów, niektórzy chcą się otaczać – niestety to wszystko jest zapatrzeniem w modele lansowane za pomocą obrazków, które nas otaczają. Mnie poraża to, że można tak stracić własną osobowość i stać się po prostu takim przezroczystym. To taka przezroczystość – mężczyźni ubrani w te błyszczące garnitury od Armaniego są przezroczystości, kobiety są przezroczyste...

**To jednak nie dotyczy już tylko Polski.**

To jest kultura, która jest przeniesiona, która nie jest nasza. Nie chodzi tylko o obronę naszej kultury, na litość boską, jakąś marynarkę też potrafimy chyba uszyć. Niekoniecznie musimy iść do sklepu jakiegoś włoskiego projektanta... Nie chodzi o jakąś dumę, ale o normalność. Byłem w sklepie firmowym Bytom, ale nic odpowiedniego nie znalazłem i w końcu musiałem kupić u Lavarda. Tak jest niestety! Ostatnio, patrząc na centrum handlowe, spostrzegłem, że znowu robimy błąd w rozwoju cywilizacyjnym, w przyspieszeniu do XXI wieku, bo nikt na świecie centrów handlowych już nie chce. Wolą pójść do normalnego domu



towarowego, gdzie można zrobić kompletne zakupy różnych towarów. Gdzieś w podświadomości, w swoich głębokich pragnieniach człowiek chce mieć życie prostsze, niż mu się wymyśla i dużo mniej eksponowane. Nie musimy tego wszystkiego mieć, co nam się lansuje do posiadania.

**A czy z drugiej strony nie jest tak, że my wszyscy byliśmy wychowani w tych dekoracjach, że w tym udawanym komunizmie mieliśmy pewexy, które też były dekoracją. Przecież nie były w stanie dostarczyć tych wszystkich towarów, które były potrzebne, natomiast dostarczały nam tic-taki...**

Rifle, Levi's i spirytus za 2 dolary...

**I wódkę żytnią za dolara... to też był rodzaj dekoracji.**

Ale równocześnie ta cała komuna przez tę swoją sierniężność, którą się krytykuje, funkcjonowała. Teraz się robi z tego romantyczny skansen. Urządza się happeningi, występy, kiedy artysta żyje przez jakiś czas w M3 w taki sposób jak w minionych latach. Ale właśnie w tamtej Polsce i we współczesnym Meksyku mogłem się zetknąć z prostotą. To ubóstwo powoduje, że żyjemy w sposób najprostsz i najbardziej pragmatyczny, a potrzeba funkcjonalności powoduje poszukiwanie rozwiązań prostych, estetycznie nieskomplikowanych. Oczywiście jako fotograf miałem tęsknoty za dobrym aparatem fotograficznym, za lepszymi błonami... Życie wiodło nas innymi drogami. Najważniejsze jednak było to, że było się dużo bardziej razem, między ludźmi, fizycznie.

**Czyli w tym słabiej udekorowanym świecie ważni byli ludzie...**

Człowiek potrzebował drugiego człowieka, aby się z nim nagać albo napić wódki, zawsze się jednak przebywało z kimś. Widziałem przedwczoraj facetkę, która miała komputer, miała smartphone 'a, miała sok pomarańczowy, miała kawę. Pół godziny na nią patrzyłem i ona nawet nie zauważyła, że się jej przyglądam z odległości dwóch metrów. To było w kawiarni na Dworcu Centralnym. Nawet nie zauważyła, że przy stoliku obok facet się na nią gapi, tak była zaabsorbowana swoimi urządzeniami. Chyba coś tu jest nie tak. A propos Dworca Centralnego — nie ma w głównym hallu żadnego polskiego sprzedawcy. Kanapka kosztuje 8 złotych, a sandwich kosztuje 16 złotych, kawa kosztuje 8 złotych i to jest drożej niż w całej Europie.

**Ale wewnątrz dworca wygląda zupełnie inaczej niż kilka lat temu.**

Tak jest! Ta scenografia jest ważna. Wracamy do teorii kartonu. Karton. Postmodernizm, neoliberalne luzactwo w błyszczących, z reguły niebieskich garniturach, prywatny dostęp do linii brzegowej, najnowszy smartphone, jakieś SUV-y... wymarzona tabliczka „Teren prywatny, wstęp wzbroniony”...

**Wróćmy może do marzeń i początków kariery, którą zaczynałeś na naszym Uniwersytecie... w tamtym czasie to był ART...**

Nie! To jeszcze była Wyższa Szkoła Rolnicza! Pracowałem jako

technik-fotograf w Katedrze Mechanizacji Rolnictwa w latach 1969-1971. Tak, to dzięki profesorowi Martiniemu, szefowi Katedry Mechanizacji, który tolerował moje preferencje, wierząc, że kiedyś wyrośnie ze mnie fotografik i pozwalał mi na eksperymenty artystyczne. Bardzo mi sprzyjał — dysponowałem aparatami i materiałami fotograficznymi do aparatów. Nie byłoby mnie stać na taki sprzęt, nie tylko zresztą mnie, bo na terenie Kortowa pracowało kilku fotografików, m.in. był Rysiek Jaromiński, który był członkiem Warmińsko-Mazurskiego Towarzystwa Fotograficznego. Pierwszą wystawę indywidualną miałem w Klubie Baccalarium. Otwierał ją zmarły niedawno znany olsztyński rysownik Aleksander Wołos. Praca w Katedrze bardzo mi pomogła, dając możliwości autodydaktyki technologicznej. Należy pamiętać, że uczyliśmy się sami. W tamtym czasie nie było w Polsce uczelni wyższych kształcących fotografików, były trzy podręczniki i z tego ześmy się uczyli.

**Opierając się na próbach i błędach?**

Wszystko sprowadzało się do tego, że trzeba to było sprawdzić w praktyce. Inaczej się nie dało. Poza tym, ponieważ mało dostępne były gotowe zestawy, trzeba było własną chemię zestawiać, eksperymentować, a to dawało wiedzę. Wiedza, którą myśmy wtedy posiadli, technologiczna i chemiczna, wystarczała nam do końca XX wieku. W zasadzie do dziesięciu lat wstecz cała fotochemia była ta sama. Zmieniały się jakości, natomiast baza teoretyczna to była wiedza, którą nieśliśmy i wykorzystywaliśmy przez całe życie.

**A teraz to się zmieniło?**

Teraz już jest cyfra i to wszystko wygląda całkowicie inaczej.

**Ale czy technologie cyfrowe nie mogą wyzwolić większej kreatywności, choćby przez obniżenie kosztów i skrócenie czasu obróbki? Zdjęcie można obejrzeć natychmiast.**

Tak, ale to niewiele zmieni. To się robi taki Disneyland. To jest tak, jak z hologramami. Gdy powstał hologram, Japończycy zrobili wystawę. Żeby pokazać, jak to działa, zrobili zdjęcie paniusi, co puszcza oko do widza — kiedy się przechodziło, ona oko zamykała i otwierała. Albo różyczki trójwymiarowe się fotografowało. I teraz jesteśmy z cyfrą w tym samym miejscu, ciągle na etapie zachwyty, że to lepiej widać i tak dalej. Natomiast kreatorzy obrazów bardzo szybko zdali sobie sprawę, że cyfra nie rozwiąże problemów wyobraźni, że najpierw trzeba nieistniejące światy wymyślić. Ciągłe jesteśmy na etapie bajkowości — *Avatara*, Disneya. Dlaczego Disney jest teraz taki potężny? Bo to jest dla niego raj, bo co sobie tam wymyślą, to bez trudu zrobią. Koszty są niższe, wszystko jest szybsze i prostsze, natomiast wyobraźnię to niewiele rozszerzyło. Bardziej sobie cenię wcześniejsze technologie filmowe z makietami do *Ben Hura*, *Nietolerancji* Griffitha, ostatnio oglądałem *Ogniem*

*i mieczem* — wspaniałe scenografie Halińskiego stawiane w terenie. Kiedy teraz robi się komputerowo nieskazitelne obrazy, zawsze jest to przesadzone i przez to, mimo braku błędów, całkowicie nieprawdopodobne. Siła Kubricka w *Odysei kosmicznej* brata się właśnie z tego, że najpierw był pomysł filozoficzny, psychologiczny, naukowy, a później był obrazek. Teraz zaczyna się często od obrazków, ale za nimi jest pustka. Obrazy są atrakcyjnymi wymuszkami. Zbigniew Rybczyński powiedział kiedyś, że najważniejsze jest stworzenie nieistniejącej rzeczywistości.

**Czyli najpierw wartości, a później sztuka?**

Tak! Powinno się wychodzić od spójnej koncepcji literacko-artystycznej, a dopiero później wymyślać dla niej konkretny obraz. Bez tego ani rusz. Najpierw trzeba wiedzieć, co się chce powiedzieć. Ja przestałem wierzyć w obraz.

**A jak to pogodzić z ogłoszonym na wstępie zwycięstwem ikonolatrii? Czy może należałoby to ująć jako zwycięstwo sztuki, która, będąc realizacją wizji artysty, jednocześnie oddala się od kartonowego modelu rzeczywistości, owe- go nieudanego mimetyzmu snów o potęgę?**

Chcesz zapytać, czy rzeczywistość kreowana może być bardziej prawdziwa albo czy rzeczywistość wirtualna jest bardziej realna od naszej rzeczywistości? To jest taka podwójna gra. Można tak myśleć, dopóki nie zaczną Cię boleć zęby albo nie chwyci cię zawal serca. I wtedy błyskawicznie odróżniamy świat wirtualny od realnego i wiemy, że „virtual” to iluzja... Wówczas iluzja staje się ponownie tylko iluzją i okazuje się, że nasza pidżama, w której leżymy w szpitalu, jest podobna do pidżamy faceta, który leży obok nas. A my cierpimy na taką samą przypadłość, co nasz szpitalny sąsiad.

**Mimo to żyjemy w świecie, który jest w jakimś stopniu wyobrażeniem.**

Z wyobraźnią jest tak, że ktoś ma wyobraźnię niesłychanie rozwiniętą i wówczas świat cyfrowego obrazu pozwala mu zrealizować wszystko, co sobie wymarzy. Ale jest również tak, że ktoś może nie mieć jakiegoś określonego obszaru wyobraźni, ale dzięki narzędziu, którym się posługuje, odkrywa, że może tworzyć inne światy. On ich w sobie nie miał, to narzędzie wyzwała w nim tę wyobraźnię. Uważam, że to idzie w dwie strony. Złapałem się na tym, kiedy poznałem Photoshopa, kiedy można było zrobić cokolwiek, co się sobie wyobraziło. Pomyślałem przez chwilę, że już w ogóle nie muszę nigdzie z aparatem chodzić, wystarczy, że będę siedzieć przed monitorem i będę sobie dłu- bał. I jest wielu artystów, którzy tak robią. Tylko ciągle obraz, który oglądamy, jest obrazem czegoś. Coś jednak musi być sfotografowane, ten wspomniany foton musi być skierowany w kierunku aparatu fotograficznego od czegoś. To nie jest abstrakcja, to tylko muzyka może być abstrakcją — muzyka i słowo



Fot. z archiwum J. Poloma

w jakiejś części i oczywiście przeróżne matematyczne funkcje. Obraz zawsze będzie osadzony w jakiejś rzeczywistości, ona może być nieistniejąca, ale i tak każdy jej fragment można znaleźć w rzeczywistości, która nas otacza.

**Czy zatem sztuka zbawi świat?**

Nie. Świata nie zbawi ani sztuka, ani artyści, ani filozofowie, co poświadczają ostatnio zachodzące wydarzenia. Rzeczywistość jest nieprzewidywalna. Możemy sobie dywagować, wychodzić na ulicę, a historia i tak toczy się swoimi drogami. Elity nigdy nie zrobiły żadnej rewolucji, zawsze potrzebny był im lud, żeby rewolucje doszły do skutku. Czy weźmiemy rewolucję francuską czy rosyjską — fale wielkich rewolucji przelewały się w masach. Dlatego między innymi powstał neoliberalizm, aby to wszystko zatimizować.

**I podporządkować totalnym rządów korporacyjnym?**

Korporacje tworzą iluzyjną sytuację, w której wszyscy żyją w strachu, w długi nie wiadomo wobec kogo. Nie docenia się jednak siły dalekiej Azji i Ameryki Łacińskiej. Za daleko zaszły sprawy — fetyszycacja, kult konsumpcji i wirtualnego świata stawiają nas w sytuacji bez odwrotu. Zbyt łatwo zapomnieliśmy o tym, o co walczyliśmy. Powoływaliśmy się na godność, na godny byt, ale kiedy nam się poprawiło, kiedy wreszcie mamy godny byt, to już nas nie obchodzi godny byt bliźniego. Zaczynamy relatywizować słowo „bliźni”.

**Mamy więc kartonowe dekoracje, pod którymi jest jeszcze trudniejsza do zaakceptowania rzeczywistość?**

Gdy odchyliłyśmy tę naszą kartonową dekorację, w jej ciemnych zakamarkach i załomach okryjemy demony, o jakich nie śniło się ani Boschowi, ani Memlingowi, ani nawet Beksińskiemu. Mentalne Średniowiecze, Inkwizycja, Biurokracja z całym swoim arsenalem represji powoli, niezauważalnie wypełniają w naszą stronę. Poprzez wszechobecny monitoring, rozporządzenia, ustawy, dyrektywy, różnego rodzaju „spowiedzi”, jakie musimy zdawać z naszej działalności...

Nie godzę się z taką rzeczywistością.

**Dziękuję za rozmowę.**

## EWA SONNENBERG

## TRWOGA

Wiesz jak to jest gdy  
 Kończy się żart a zaczyna abstrakcja  
 Nic nie zastąpi tego co było  
 Pamięć jest jak więzienie  
 „expensiveshit”  
 Nie żebym te wiersze miała za nic  
 Chęć ich pisania wbrew okolicznościom:  
 Twoja trwoga ma wielkość cmentarza wiejskiego  
 Twoja trwoga jest jak budynek do rozbiórki  
 Twoja trwoga boję się o niej mówić  
 Tak bardzo jest podobna do mojej trwogi  
 Tego się nie da nazwać  
 Tego się nie da opisać  
 Choćbyś bardzo chciał trwoga  
 Przerasta tak zwane wszystko  
 Moja trwoga jak most krzyku na ostrzu nocy  
 Moja trwoga jak błaganie o chwilę wytchnienia  
 Módl się do mojej trwogi  
 Ptaku widnokregu skrzydeł  
 Módl się do mojej trwogi  
 Ulico dziwko pustki  
 Módl się do mojej trwogi  
 Naga prawdo  
 Coś musiało wydarzyć się nie tak  
 Może urodziłeś się o dzień za wcześniej  
 Lub o dzień za późno  
 Że boisz się  
 Trwoga cię przypiera do muru  
 Chce cię rozstrzelać  
 Chce cię oddać w ręce nieprzyjaciół  
 Próbujesz ten strach kondensować  
 Do małej tabletki którą polykasz przed snem

\*\*\*

zrób ze mnie drogę  
 taką szybkiego ruchu  
 żebym wybiegła tobie naprzeciw  
 gdziekolwiek pójdziesz  
 będę drogowskazem

zrób ze mnie polanę  
 na polanie jest raj  
 obiad i postanie  
 matka z prawdą  
 ojciec budowniczy czasu

zrób ze mnie schody  
 trzymając się poręczy jak ciała  
 wejdziesz na pierwszy stopień  
 jest nim cierpki posmak  
 wejdziesz na drugi stopień  
 jest nim rozkołysany wszechświat  
 wejdziesz na trzeci stopień  
 odczujesz kim jestem

zrób ze mnie budynek  
 taki do noszenia kości  
 z oknami na wymienialny świat  
 rozdarty na pół krzyk drzwi  
 będę kluczem  
 hieroglifem  
 milczącym Sfinksem

zrób ze mnie piach  
 będę szeleścić pod stopami  
 idąc po mnie  
 wyjdiesz na zewnątrz siebie

zrób ze mnie metal  
 rozżarzony oddechem  
 zostawia ślady i blizny

na wszystkich co zapomniałam  
 na wszystkim co utracone  
 wypal znaki jak wyrocznie  
 na tym co nas dzieli  
 na tym co jest z nami

zrób ze mnie świt  
 potajemne ściganie słońca  
 pierwsza godzina wolności  
 odkryję cię  
 staniesz nagi  
 jak bezbronne spotkanie  
 z nieznaną światłą

zrób ze mnie wodę  
 popłynę do ujścia  
 zatoczę koło  
 dzieląc się na kontynenty  
 będę twoim światłem  
 bez słów  
 wartkim strumieniem  
 zrozumienia

zrób ze mną co chcesz  
 bo tym ty jestem ja

## KOSMOS

Tak jakbyś na chwilę wymknęła się z moich rąk na planetę zwaną Ziemią  
 Niczyją nieznaną złowrogą obcą i nie naszą  
 Tak jakbyś na chwilę wypłynęła ze źrenicy mojego oka na peryferie wszechświata  
 Kaleczona otwartą raną tego co nie jest z nas  
 Tak jakbyś przez chwilę odczuwała prostą nieskończoną spajającą w jedno  
 Pośrodku czas jest zdumieniem ukrytym w naszych ciałach  
 Wokół przestrzeń jak złoty namiot  
 Słowo jest odłamkami tego co rozpisuje się w liczbach  
 Teraz jest tak jakbyś nigdy nie przybyła na Ziemię  
 W łonie nieznanego świata przechowujesz nasze spotkania  
 Teraz jest tak jakbyś patrzyła z daleka zanim przebili cię jak motyla  
 Teraz jest tak jakbyś samotnością odnajdywała nie siebie ale mnie  
 Mówisz: od zawsze szukałam tylko ciebie  
 Teraz jest tak jakbyś była rozmową na schodach słońca pocałunkiem na księżycowym moście  
 Tak jakbyś otrzymała imię jak źródło które prędzej czy później staje się morzem  
 Tak jakbyś urodziła się jeszcze przed narodzeniem te pamiętki pozostawione na planecie  
 Tak jakbyś znała się od dawna w twarzach portretowanych z myślą o tym co jest kresem  
 Tak jakby nigdy nie było początku wciąż unosimy się mgłą nad złotym lustrem milczenia  
 Teraz jest tak jakby cały świat był jakimś rogiem ulicy za każdym razem mówię to samo  
 Teraz jest tak jakby nikt i nic mnie nie dotyczyło a dotyczyło każdego według starej rachuby czasu  
 Teraz jest tak jakby pośrodku mojego ciała coś płakało zabrałem ci żebro bo nie jesteś kobietą  
 A ból rzeźbi mnie jak aleję błękitnych drzew gdy ty w kielichu kwiatu nazywasz się Przebudzeniem  
 A ból mi mówi: jestem samotną dziewczyną przy skrzynce pocztowej spragnioną śniegu  
 A ból jest tym co dzieli jak zamknięte drzwi woda zamienia się w smak octu czas jest wierszem  
 Teraz jest tak jakby planeta była jak błękitne oczko w pierścieniu na ekranie są zakłócenia  
 Teraz jest tak jak czuwanie gdy rytm płomienia był uśmiechem sufiego na okładce książki  
 Teraz jest tak jak ogień czerwonego kręgu rozżarzona obręcz zaciskająca się wokół ciebie  
 Tak jakbym był skrzydłami w których są wszyscy znasz ich od wieków  
 Tak jakbym był jaskinią drogą i ogrodem nawet to zdjęcie matka pokazująca dziecku świat  
 Tak jakbym był rozpedzoną strzałą na otwartych kartkach jakiegoś listu z daleka  
 Mój wiersz jest czymś więcej niż modlitwa w czymś bardziej niż wygnanie

EWA SONNENBERG (ur. w 1967 w Ząbkowicach Śląskich) — poetka, autorka wielu tomów wierszy, tłumaczona na kilkanaście języków, dwukrotna stypendystka Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego, laureatka szeregu międzynarodowych nagród. W 2016 r. została finalistką Nagrody Poetyckiej im. K.I. Gałczyńskiego „Orfeusz” za tom *Hologramy*.



ARNO HOLZ

Wiersze o miłości przekład Krzysztof D. Szatravski

W  
ogrodzie, pod starymi drzewami,  
na  
ciemnej omszałej tawce... trzymając się za ręce,  
zadumani... we dwoje... milcząc,  
oczekujemy  
wiosennego zmierzchu.

Jeszcze  
Nie rozbityś żadna z gwiazd.

Krzewy  
znikły... w ciemności.

Raptem  
z jakiegoś okna  
ciche,  
nośne, wzbierające,  
tak  
głębokie... czyste, perlące się... delikatne,  
narastające... wydobywają się  
tęsknie wibrującym, błogo rozśpiewanym,  
wzbierającym, żarliwym,  
złotopółskliwym,  
srebrołagodnym, srebrojasnym, srebrostodkim  
blaskiem dźwięki skrzypiec.

Tu... zlotokap lśni, tu... bez pachnie,  
w naszych  
sercach  
bliski jak sen, sennie czerwony, ogromny  
jawi  
się księżyc!



Ja... wiem.

Często  
to był tylko śmiech, uścisk twojej dłoni,  
albo włos, odkryty na karku włosów, którym targa powiew wiatru,  
i  
cała moja krew ... zaraz burzy  
się  
i całe moje serce ... bije dla ciebie!

Ty... masz, ty... trzymasz,  
ty  
trzymasz i masz,  
całkiem i... nago, całkiem i... nago!

I  
dzisiaj, dzisiaj,  
ten  
pierwszy... raz,  
nad jeziorem, błyszczącym o południu  
widziałem... cię tak.

Całą ... i nago! Całą... i nago!

I... moje... serce  
Zamarło.

Spełnione!

Ze... szczęścia.

I nie było więcej świata,  
nic, nic,  
nic!

To... było  
tylko... jeszcze słońce! Tylko... jeszcze słońce!

Tak  
byłaś piękna!



Tak  
słodko... splata... się  
noc!

Pod ciemnymi kasztanami... pod księżycową ścianą  
opierałaś  
się  
z zamkniętymi oczyma w cieniu.

Nie... całowaliśmy... się.

Nasze milczenie  
powiedziało nam  
o wszystkim



Jestem... gwiazdą. Ja... świecę.

Smutne,  
błagalne, blade od teź  
podnosisz... ku mnie... swe oblicze.

Twoje dłonie  
płaczą:

„Pociesz mnie!”

Ja  
... świecę...

Wszystkie moje promienie  
drżą  
w twoim sercu!

W SAMYM ŚRODKU – GALERIA VARIARTA:

## Janusz Połom

Janusz Połom — ur. 16.10.1950 r. w Toruniu. Absolwent Wydziału Operatorskiego i Realizacji Telewizyjnej i Wydziału Reżyserii PWSFTviT w Łodzi. Wykładowca, a w latach 1981-1984 dziekan Wydziału Operatorskiego i Realizacji Telewizyjnej tejże uczelni. W latach 1971-1976 należał (wraz z J. Robakowskim, W. Bruszkowskim, R. Waśko, A. Różyckim) do Warsztatu Formy Filmowej przy PWSFTviT, w którym zrealizował film *Alfabet* i uczestniczył w wielu przedsięwzięciach artystycznych, w tym największym — „Akcja Warsztat” zrealizowanym w 1975 r. w Muzeum Sztuki w Łodzi. Po ukończeniu studiów pracował też jako operator filmowy. Jako fotografik wystawiał swoje prace na Biennale de Paris w 1982 r., a w 1983 r. uczestniczył, jako jeden z 75 artystów polskich XX wieku, w największej powojennej wystawie polskiej sztuki współczesnej „Presences Polonaises – I” art. Vivant Autour Du Musée de Lodz” w Centrum Georges Pompidou w Paryżu. W roku 1986 wyemigrował do Kanady, a następnie do Meksyku, gdzie — do powrotu do Polski w 2001 r. — wykładał w Centro de Capacitación Cinematográfica. Podczas pobytu w Meksyku zrealizował szereg wystaw indywidualnych, m.in.: w Casa de La Cultura Coyoacán w 1998 r.; Galerii El Atrio, w ramach Festiwalu Fotograficznego „Fotoseptiembre”, w 1998 r; w Montréalu w Galerii Etre Cadre, w ramach miesiąca fotografii „Le Mois de la Photo”. Dwukrotnie, w latach 90. wystawiał swoje prace fotograficzne w Muzeum Kinematografii w Łodzi, a w 2000 r. prezentowano jego prace w Muzeum Miasta Łodzi. Ostatnio wystawiał indywidualnie m.in. w Galerii 2b w Warszawie (2012 r.), Galerie im Rathaus w Wassenbergu (2014 r.) i Galerii BWA w Olsztynie (2015 r.). W roku 2014 uczestniczył w wystawie kuratorskiej „Kosmos wzywa!” w Zachęcie — Narodowej Galerii Sztuki. W 2016 r. odbyła się multimedialna wystawa indywidualna w BWA w Olsztynie. Wydał także monografię *Na 275. Kilometrze*. Jest profesorem uniwersyteckim, wykłada fotografię w Instytucie Sztuk Pięknych na Wydziale Sztuki UWM.

ARNO HOLZ (1863-1929) — urodzony w Kętrzynie, po 12 - roku życia mieszkał w Berlinie, jednak do Prus Wschodnich stale tęsknił — powracał tu na wakacje i w wędrownych poetyckich, mitologizując obrazy rodzinnej krainy. Wschodniopruska tożsamość miała silny wpływ na twórczość tego wybitnego poety, prozaka i dramaturga niemieckiego modernizmu. Był także uznanym teoretykiem nowej literatury, nagrodzonym doktoratem honoris causa królewskiej Albertyny. Prezentowane wiersze pochodzą z cyklu „Dziewięć wierszy miłosnych” wydanego w roku 1924, kiedy 61-letni poeta był u szczytu sławy.



# JANUSZ POŁOM

Pozostające obrazy



Ojciec i syn

Dokumentowe zdjęcie mojego ojca, który zmarł w 1968 r., powstało prawdopodobnie ok. 1967 r. Moje – chyba w okresie studiów, ok. 1973 r. Zawsze mówiono mi, że jestem do niego bardzo podobny.

Czas, jak pralka, na której umieściłem przenikające się twarze, „start” w mojej pamięci wiele obrazów. Patrząc na twarze ojca i syna, czasami nie wiem, która jest moja.

Zdjęcie powstało ok. 1910 r. i zostało wykonane w Lubikach k. Czerska przez nieznanego fotografa. Widnieją na nim rodzice i starsze rodzeństwo sióstr Teresy i Fimy (w okularach), które widzimy na zdjęciu dolnym. Gdy je robiono, nie było ich jeszcze na świecie. Pani Teresa miała ten rodzinny portret całe życie przy sobie, ponieważ jest on jedyną pamiątką po Ojcu, którego obydwie siostry prawie nie pamiętają.

Z całej kilkunastoosobowej rodziny żyją dwie siostry – Teresa i Fima. Sfotografowałem je w moim ogrodzie wczesną jesienią 2016 r.





DANUTA NOWICKA, red. IWONA BOLIŃSKA-WALENDZIK

## Piękna była zawsze

Przed samym budynkiem była fontanna, po której dziś już nie ma śladu. Nie ma murku oporowego z metalowym dekoracyjnym płotem. Nie ma bramki na posesję, za którą, wspinając się po kilku schodkach, docierało się przed front kamienicy, został tylko napis na progu — „salve”.

Do Olsztyna przyjechałam w 1955 r. po ślubie. Mąż dostał tu nakaz pracy w poliklinice. Najpierw tam mieszkaliśmy w służbowym pokoiku. Ale jak się miało urodzić dziecko, zaczęliśmy szukać mieszkania. Dzisiejsza kamienica „Naujacka”, mieszcząca się ówczesnie na ul. Józefa Stalina 3, podlegała pod milicję. Mieścił się tu żłobek milicyjny. Mąż jako pracownik polikliniki dostał w grudniu 1955 r. „mieszkanie” w kamienicy na strychu, na trzecim piętrze. Były tam cztery pokoje. My otrzymaliśmy przydział na dwa, w trzecim mieszkała pani doktor pediatra, a czwarty przeznaczony był szafą. Przed szafą mieszkał sierżant z żoną, a za szafą mieszkała Pani Tereska, salowa z Polikliniki, która nam zostawała z dzieckiem, jak chcieliśmy gdzieś wyjść.

Już na poddaszu, w styczniu 1956 r., urodziła się nam córeczka Elżbieta. Warunki wciąż były trudne. Wspólna kuchnia, łazienka i piec etażowy do centralnego ogrzewania w kuchni, gdzie trzeba było palić, żeby ogrzać całe piętro. Przy żłobku, który zajmował parter i dwa pierwsze piętra, był zatrudniony pan Moskalski jako dozorca. Za drobną opłatą przynosił nam koks na górę. A mąż palił w piecu, żeby nam było ciepło.

Lokatorzy się zmieniali. Wprowadziła się tam pani doktor, dyrektor Polikliniki, z mężem, inżynierem geodezji, i córką Joasią. Razem z nimi mieszkało się nam bardzo dobrze, pomimo wspólnych pomieszczeń układało nam się jak w rodzinie. Po około półtora roku żłobek zwolnił drugie piętro kamienicy. I my razem z naszymi współlokatorami, państwem Braun, przenieśliśmy się tam. Podzieliliśmy piętro tak, aby obie rodziny miały w miarę wygodnie. Nasze mieszkanie miało cztery pokoje. Przedpokój przedzieliliśmy ścianką. Do sąsiadów prowadziły drzwi tuż za wejściem do naszej kuchni. Dzieląc się piętrem, które wcześniej było jednym mieszkaniem, każdy chciał mieć swoją kuchnię i łazienkę — my musieliśmy dorobić łazienkę, oni kuchnię. My zagospodarowaliśmy tę właściwą kuchnię, która istnieje do dziś, z pięknym, dziś już zabytkowym, piecem. A państwo Braunowie na kuchnię przeznaczili jeden pokój. Natomiast łazienka, półokrągła, z piękną, dużą wanną, była po ich stronie, na końcu podzielonego korytarza. Po naszej stronie był pokój służbowy przy kuchni, jak to dawniej w takich wielkich mieszkaniach bywało. I my

ze służbowki zrobiliśmy łazienkę. Pokój z nią sąsiadujący mąż zaadaptował na gabinet ginekologiczny. Dziś oba pomieszczenia są połączone i mieści się tam pracownia plastyczna, do której m.in. przychodzę na warsztaty batiku czy pastelu. Jediną niedogodnością było to, że sąsiedzi przechodzili przez nasz korytarz łączący pokoje z kuchnią. Ale przy zgodnym życiu to absolutnie nikomu nie przeszkadzało. Nasi sąsiedzi po jakimś czasie wyprowadzili się. Po śmierci męża pani Braun z córką przeprowadziła się do Krakowa, gdzie Joasia ukończyła ASP. Oj, z Joasią było urwanie głowy. Miała duże problemy w liceum. Chodziła tu na Mickiewicza do „Jedynki”. Ona i jej szalone koleżanki miały różne pomysły i tylko pani profesor Natalia Żarska, polonistka, przymykała oczy na wszystkie wybryki dziewcząt. Gdy sąsiadki się wyprowadziły, w którymś momencie pani Braun podesłała mi wycinek z gazety z notatką, że Joasia zrobiła scenografię do jakiegoś spektaklu w Krakowie i poprosiła mnie, żebym podeszła do pani profesor Żarskiej, żeby podziękować i powiedzieć jej, że Joaśka wyszła na ludzi.

Żłobek mieszczący się poniżej też nie był kłopotliwym towarzyszem, tylko rano było słycać płacz, gdy matki przyprawiały maluchy. Kiedyś jedno z dzieci wdrapało się pod nasze drzwi od kuchni i płakało. Na szczęście usłyszałam je i zaniostałam do opiekunek. Latem, gdy okna były pootwierane, z budynku milicji mieszczącego się vis-à-vis naszego, zdarzały się telefony



Elżbieta, córka autorki, na balkonie w kamienicy przy ul. Dąbrowszczaków 3, 1964 r. Fot. z archiwum D. Nowickiej

do mnie od zatroskanej matki, która tam pracowała, żebym spojrzała, co tam w żłobku się dzieje, bo tak strasznie płaczą dzieci.

Mieszkaliśmy w kamienicy do 1972 r. Wszystkie nasze dzieci się tam urodziły — cała trójka: córka w 1956 r., potem syn Wojciech w 1958 r., a w 1964 r. Maciej. Staraliśmy się niczego nie niszczyć w naszym mieszkaniu, chociaż czasami mówili mi np.: po co ci ta kuchnia na fajerki? Ale ja wstawiłam obok kuchenkę gazową, starą przykryłam blatem i miałam dodatkowe miejsce. Mieliśmy tam już centralne ogrzewanie, podłączeni byliśmy do żłobka. Czyszczenie i ogrzewanie optacaliśmy w jego administracji. Szafy wbudowane w ściany na korytarzach wykorzystywaliśmy do przechowywania ubrań i rzeczy. Mieliśmy do dyspozycji trzy pokoje, ustawione w amfiladzie, od strony ul. Dąbrowszczaków. Ostatni pokój, ten, który oddzielony jest pięknymi rozsuwanymi drzwiami z witrażami, należał już do sąsiadów. Te drzwi zabudowaliśmy ścianką i dłatego dziś można je było odzyskać. Pięknie zdobią przestrzeń kamienicy. Nasze mieszkanie było wysokie, na suficie były stiuki. Kłopot mieliśmy z firankami i zasłonami — posiłkowałam się drabiną malarską, żeby wszędzie dosięgnąć. Amfilada przy sporej rodzinie była utrapieniem. W pierwszym pokoju, gdzie w tej chwili jest sekretariat MOK, miała swoje królestwo nasza córka, chłopcy zajmowali ostatni pokój z pięknym balkonem jak pagoda. My mieliśmy ten środkowy, przechodni. Był on i dziennym pokojem, i sypialnią. Pomimo wielkiego metrażu nie dało się inaczej, oczywiście można było coś przerabiać, ale mieliśmy świadomość, że jest to jednak wartościowy budynek.

Wszyscy nam zazdrościli, że mieszkamy w tak pięknej willi. Goście, którzy przyjeżdżali do nas nawet z zagranicy, np. z Francji, byli zachwyceni miejscem, witrażami na klatce schodowej, stiukami, balkonem. Jedynym mankamentem były tramwaje — rozklekotane, bardzo głośne — i latem trudno było wytrzymać ich hałas. W salonie dzieci jeździły na rowerkach wkoło stołu. Mieliśmy grono znajomych, którzy często przychodzili do nas, było się gdzie pobawić. Był taki czas, że w salonie ćwiczyliśmy twista. Zapraszałam do domu pana Wydorskiego (brata Aleksandra — malarza), który uczył tańca trzy, cztery pary małżeńskie. Robiłam kinderbale, szczególnie w okresie Bożego Narodzenia. Dzieciaki przebierały się i przychodziły z rodzicami — i one, i my balowaliśmy sobie. Znajomi przychodzili do nas również na telewizję. Oglądaliśmy w naszym węgierskim odbiorniku Tesla pierwsze odcinki *Kobry*, pamiętam też retransmitowane obchody grunwaldzkie. Z balkonu oglądaliśmy różne wydarzenia, chociażby pochody pierwszomajowe, bo zanim zmieniono trasę, to właśnie ul. Dąbrowszczaków ludzie maszerowali. Zawsze też, jak znajomi odłączali się od pochodu, to przychodzili do nas. Jeszcze do końca oglądali przemarsz, a potem świętowaliśmy.

Swoboda była. No, może dzieci nie miały dużego podwórka. Schodów od



Brat i dwoje dzieci autorki przy fontannie przed kamienicą przy ul. Dąbrowszczaków 3, 1959 r. Fot. z archiwum D. Nowickiej

podwórka, „kuchennych”, dzieci używały do zabawy, do wynoszenia śmieci oraz szybkiego zejścia do sklepu, który był w naszym budynku od strony ul. Mrongowiusza. Córka złamała na tych schodach obojczyk. Fontanna przed budynkiem, już jak my mieszkaliśmy, nie działała. Na wewnętrznym podwórku była pralnia. Na górze nad nią mieszkował nasz Pan Moskalski. My z niej nie korzystaliśmy, pani Kowalska urządziła tam prania, my mieliśmy swoją Franję i sami praliśmy. A pieluchy córki, gdy mieszkaliśmy na poddaszu, suszyłam tam, gdzie dzisiaj jest galeria, nie przypuszczałam, że tak zmieni się przeznaczenie tego pomieszczenia. Obok kamienicy nie było budynku, w którym jest dziś kapelusznik, było tam przejście do wózkowni i piaskownicy, dostawialiśmy od Pana Moskalskiego klucze i dzieci się tam bawiły. A jak były już starsze, to biegały po ul. Mrongowiusza. Tak się wtedy mieszało. Wiedzieliśmy trochę o przeszłości tego budynku, że były w nim prowadzone przesłuchania, ale nie dociekaliśmy.

Przyjechałam do Olsztyna z Chełma na Lubelszczyźnie, bardzo przeżywałam rozłąkę z bliskimi — rodzicami, przyjaciółmi. Olsztyn na początku mojego pobytu w latach 50. był taki wyludniony, zupełnie inny niż miasta, które znałam wcześniej z południa Polski — tętniące życiem. Jak przyjechałam, były tu gruzy. Za Wysoką Bramę, na starówkę, nie było po co iść, bo tam były ruiny. Jak się jechało tramwajem do polikliniki przez al. Wojska Polskiego, to też wśród gruzów. I jeszcze ta gwara, mazurzenie, ale i niemieckiej mowy też dużo się słyszało. Mąż opowiadał, że przychodzili do niego pacjentki, które nie mówiły w ogóle po polsku. Na początku źle się tu czułam. Ale dzięki kolejnym życiowym sprawom, oczekiwaniu na dziecko, Kochającemu mężowi, nowym znajomym powoli wracała radość. Dziś z sentymentem wracam do tamtych czasów, do kamienicy, która zawsze była piękna.



ANITA ROMULEWICZ

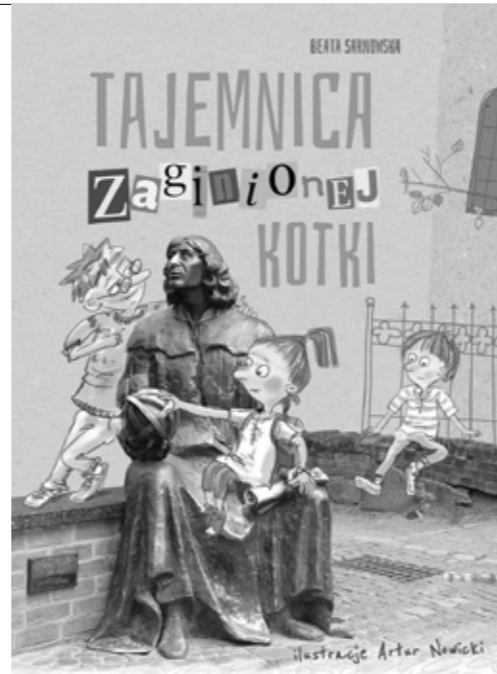
## Gdzie jest Teośka?

Napisać dobrą książkę dla młodzieży o miejskich atrakcjach nie jest łatwo. Szczególnie trudno pisze się dla czytelników, którzy jeszcze nie są dojrzałą młodzieżą, ale dziećmi już zdecydowanie się nie czują. Jak bowiem zachować rzeczowy przekaz i nie zanudzić ich? Jak trafić do pokładów spontaniczności i chęci zabawy, ale nie popaść w infantylizm? Jedyna rada to zachować naturalność. Czy ta sztuka udała się Beacie Sarnowskiej, autorce książki pt. *Tajemnica zaginionej kotki*, ocenią już sami czytelnicy. Tymczasem warto przyjrzeć się jej powieści bliżej z kilku innych powodów.

Po pierwsze, zjawisko questingu, czyli, inaczej mówiąc, gier terenowych, jakkolwiek już powszechnie znanych, w pełnej krasie zaprezentowano w literaturze dla młodzieży. To niezwykle modne dziś narzędzie działań marketingowych wciąga ludzi w każdym wieku. Szczególnie wdzięcznie sprawdza się w sektorze turystycznym i promocji wiedzy o regionie. *Tajemnica zaginionej kotki* jest świetnym przykładem na to, że książki i questing to dobry mariaż. Już na skrzydełkach okładki czytelnik znajduje intrygę i obietnicę dobrej zabawy. Obok zaproszenia do wspólnego rozwiązywania zagadki oraz wyjaśnienia zasad gry do dyspozycji graczy jest mapa Olsztyna z zaznaczonymi na niej kluczowymi punktami, którą opracował Artur Nowicki, autor ciekawych kolaży ilustrujących całą książkę. Nic tylko dać się porwać naturalnej ciekawości i rozpocząć poszukiwania wraz z bohaterami.

A czego poszukujemy? Teosi — rasowej, dość charakterystycznej, choć z umaszczenia pospolicie szarej, kotki. Wyróżnia ją czerwona obróżka z dzwoneczkiem oraz pokaźne kształty, żeby nie powiedzieć otyłość. Teośka żyje bowiem u swojej opiekunki, bibliotekarki z Jarot, jak przystoiowy pączek w maśle. Spędza czas głównie na podjadaniu i wylegiwaniu się w zaciszu mieszkania. Tym bardziej niezwykle jest jej nagłe zaginięcie. Tak zawiązana fabuła wprowadza młodego czytelnika w świat rezolutnej Kamy — jedenaolatki, która ucząc się odpowiedzialności i opieki nad żywym stworzeniem, wpada na trop gangu porwaczy kotów.

To kolejny powód, dla którego książka Beaty Sarnowskiej zasługuje na uwagę. W *Tajemnicy zaginionej kotki* wątek detektywistyczny, atrakcyjny dla współczesnych młodych czytelników, prowadzony jest na wzór popularnych podchodów. Pozwala młodym odkrywcom odnajdywać kolejne tropy i wskazówki, ruszyć głową i czerpać z tego satysfakcję. Nie sposób nie zauważyć analogii do polskich klasyków młodzieżowych tego gatunku. Powieści Niziurskiego,



Nienackiego, Bahdaja, czy nawet odległy w czasie *Szatan z siódmej klasy* Kornela Makuszyńskiego, odwołują się do naturalnych predyspozycji wyrastających z dzieciństwa nastolatków. Wydaje się, iż Beata Sarnowska w swojej powieści z równą starannością powoływała do życia postać przebojowej Kamy, jej rudowłosej przyjaciółki Zuzy, bardzo wysokiego Chudego oraz Wojtka Mikołajczyka, zwanego z oczywistych względów Świętym. Można się pokusić nawet o pewną sugestię, iż to ta czwórka dzieciaków, ze swoim hejka i nara, brylująca na osiedlu ze smartfonem w garści, jest dla współczesnego czytelnika dużo bardziej autentyczna niż Adaś Cisowski Makuszyńskiego. Paczka z olsztyńskich Jarot jest jak bohaterowie książek sprzed wielu lat: zgrana i solidarna, jednak żyjąc już w zupełnie innym świecie, dopiero uczy się rozpoznawać zagrożenia i w razie trudności szukać wsparcia wśród dorosłych. Dzieciaki z osiedla Kwiatowego starają się być samodzielne i niezależne. Być może to znak czasów (i wpływ mediów), że widzą strachy tam, gdzie ich nie ma, a nowy sąsiad dostaje „łatkę” gangstera — niebezpiecznego szefa siatki przestępczej.

*Tajemnica zaginionej kotki* poza wątkiem detektywistycznym, który wprost realizuje funkcję rozrywkową, niesie i inne wartości. Powieść niejako mimochodem uczy o mieście i jego historii, ważnych ludziach i wydarzeniach. Tu edukacja regionalna przebiega naturalnie, wpisana została bowiem w zabawę. Młodzi olsztyniacy właśnie dzięki przygodzie odkryli, czym wstawił się Mikołaj Kopernik i jak ważna jest dla naszego miasta poświęcona mu tablica astronomiczna na Zamku. Dowiedzieli się, jak wyglądała pieczęć kapituły warmińskiej, że niegdyś Wysoka Brama była więzieniem oraz dlaczego dzisiaj w Katedrze św. Jakuba wisi żyrandol z poroża jelenia. Szukając odpowiedzi

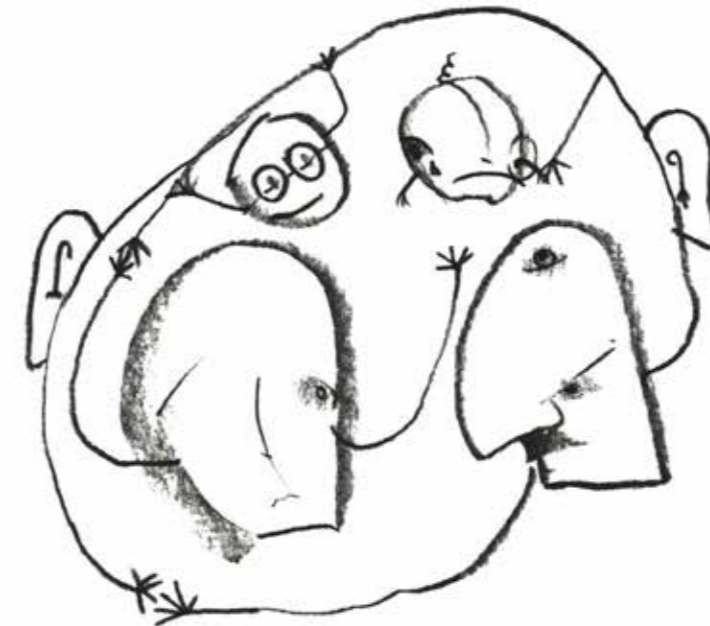
na kolejne tajemnicze zagadki, bez zastanowienia wstępują do biblioteki w Starym Ratuszu, gdzie oprócz książek o regionie są jeszcze komputery i Wi-Fi. W ciągu tych kilku godzin zabawy cały Olsztyn staje się ich podwórkiem, a przez to jest jakby jeszcze bliższy.

W tym miejscu warto wspomnieć kolejny interesujący wymiar książki Beaty Sarnowskiej. Tak jak naturalnie zawiązują się przyjaźnie pomiędzy bohaterami, tak też nie ma nic udawanego w relacjach nastolatki z rodzicami. Od początku wiadomo, jaki model rodziny opisuje autorka: rodzice ciągle w pracy (dzisiaj akurat na siebie nafukani za uwagę taty dotyczącą „boczków” mamy), młodzież z kluczem w garści, ale pod SMS-ową kontrolą. Kochają się i szanują, choć nastoletni bunt na pokładzie musi być. Tak dla zachowania odwiecznej zasady. I tu zaskoczenie, które plasuje *Tajemnicę zaginionej kotki* w kategorii poradników dla rodziców dorastających dzieci. Wśród zdrowych, choć może nie perfekcyjnych, emocji rodzi się bowiem troska o to, jak Kamila i jej przyjaciele będą spędzać całe wakacje, skoro zaplanowane kolonie to tylko dwa tygodnie. Autorka powieści podsuwa rodzicom lekturę niezwykle inspirującą, a jednocześnie wartościową wychowawczo. I mam tu na myśli raczej samorefleksję dorosłych. Pewnie niejednego z rodziców ucieszy fakt, że nawet kiedy zdaniem młodzieży „starzy” zrzędzą i sypią mądrościami, to jednak młodzi tylko pozornie ich nie słuchają, a niekiedy, jak Chudy, wręcz znają owe mądrości na pamięć.

Beata Sarnowska ambitnie podeszła do komponowania swojej powieści. Wyraźnie widać wielopłaszczyznową pracę z dużym namysłem pedagogicznym. Nawet „chłopacka” pasja Kamy i jej wspólne oglądanie meczów biało-czerwonych z ojcem przełamują stereotypy. To wszystko powoduje, że *Tajemnica zaginionej kotki* to książka wartościowa, choć nie bez słabych stron.

Najmniej udanym elementem jest brak dyskrecji. Prezentacja atrakcyjnych i starannie wyselekcjonowanych walorów miasta, drugiego tematu głównego książki, jest dość dosadna. Powieść przez to nabiera cech produktu, podczas gdy powinna pozostawać w odbiorze wyłącznie dziełem literackim. Efekt ten podkreślają z jednej strony niespotykane w powieściach dla młodych czytelników przypisy (dodam, że sporządzone według norm naukowych), z drugiej natomiast język i styl wypowiedzi dotyczący zabytków i atrakcji Olsztyna. Mimo, iż w *Tajemnicy...* pojawia się obiecująca postać „znawcy”, przewodnika turystycznego, to nie została ona należycie wykorzystana. Zabrakło w powieści dorosłego pośrednika, który niczym pan Tomasz w *Panu Samochodziku* albo profesor w *Szatanie z siódmej klasy*, zdjąłby mentorski ton z ust nastolatków. One zaś, sprytne i bystre, mogłyby skupić się wyłącznie na główkowaniu i szukaniu odpowiedzi na pytanie: gdzie jest Teośka?

Beata Sarnowska, *Tajemnica zaginionej kotki*, Kraków 2016, Wydawnictwo Skrzat.



Rys. Piotr Tymcio — Państwowe Liceum Plastyczne w Olsztynie

MONIKA KOWALEWSKA

## Opowieści z Warmii — szkoła

## Pluski

**Dziadku, kiedy wybudowali polską szkołę w Pluskach?**

Przed wojno. Polsko szkołę budowali w 1930 r., to tam jeszcze przede mną to wszystko... Ta polska szkoła to przez napływ Polaków, które się osiedlały w tym czasie tu na Warmii. I tu jak ludzie się sprowadzili, to chodzili do Polskiej Szkoły do Gryźlin. Moja mama była urodzona w 1896 r. w okolicach Zielonowa. Zanim tu do Plusk przyjechali, to do kościoła chodzili w Gryźlinach i mama moja mi zawsze wspominała, że jak 4 lata miała, to jak religia dla dzieci była w kościele, to ksiądz gadał po polsku, tylko tyle, że na tych terenach po naszymu godali ne, tak swoim językiem i tam kapowali (rozumieli) po naszymu, to był polski ksiądz. No bo to taki problem był. Ja wiem, że to było to nasilenie między to ewangelicko i katlicko wiaro i bardzo mało księży było.

**Ale przed wojną część mieszkańców Plusek chodziła do polskiej szkoły, a część do niemieckiej, bo to przecież były tereny niemieckie?**

Do polskiej to tylko ci, co z Polski się osiedlili, te tylko chodzili, ale to ich chodziło, jak ja pamiętam, ośmiu czy dziewięć dzieci.

**Polska szkoła do 1937 r. mieściła się w tym budynku drewnianym, w którym po wojnie zrobili kościół?**

Na dole, co później kościół był, to była polska szkoła, a ta reszta to były gabinety dla nauczyciela i tam on mieszkał. Ja tylko wiem, że Jasiu zawsze opowiadał: a tam, i tak wyszedłeś na ulice, toś musiał po niemiecku gadać i rozmawiać, i tak, i tak, a żeś poszedł do polskiej szkoły, to nie miało żadnego sensu i on też tak samo, może tylko rok chodził, bo później zaczął już chodzić do niemieckiej szkoły.

**A ile dziadek miał lat, kiedy poszedł do szkoły?**

Jak do szkoły poszedłem? No do szkoły, to miałem 6 lat, to mogłem tak w 1942 r. Ja tylko tyle pamiętam, że to było dwa czy trzy lata i było po szkole. Przecież to już była wojna — nie od 1939 r., ja miał wtedy 3 lata, to skąd ja mogłem wiedzieć... U nas? A skąd kto wiedział, że to wojna gdzieś jest? Tu nikt nic nie wiedział, tylko przyszli dla mężczyzny jakiego rozkaz, że ma się stawiać tam uj do jednostki takiej i takiej i koniec, jak nie, to więzienie albo co. Ja jeszcze do 1945 r. to byłem jeszcze do I Komunii i bierzemowany, bo księża wiedzieli, co się dzieje z to wojno.

**To dziadek był tylko dwa lata w niemieckiej szkole?**

Tak. Tyle było dzieci, że trzeba było szkołę powiększyć, widać, że ta jedna część szkoły była dobudowana.

**A ile tam dzieci z dziadkiem do szkoły chodziło?**

Ponad dziewięćdziesięcioro dzieci chodziło tu do szkoły w Pluskach. To był ten czas, jak ja chodziłem do szkoły. Ja chodziłem już do 3. klasy i w 1945 r., jak Rosjanie weszli, to był styczeń, to się skończyła szkoła.

**Do szkoły w Pluskach chodzili tylko dzieci ze wsi?**

Tylko z Plusek. Orzechowo też do Plusek przywozili, ale w Orzechowie była szkoła z czterema klasami, dopiero te starsze szły do innej wioski, po wojnie tam do Szwaderek. W Szwaderkach zlikwidowali i w Mierkach zrobili, i tam ze wszystkich stron autobusami wożą.

**A potem, gdzie dziadek chodził do szkoły?**

A potem powstała polska szkoła w 1945 r. Po zakończeniu wojny była już tylko polska szkoła, w starym budynku niemieckiej szkoły z 1820 r., tym z czerwonej cegły...

**Dzieci z tej niemieckiej szkoły musiały się zacząć uczyć polskiego?**

Nie było po wojnie już żadnej niemieckiej szkoły. W szkole wszystko przebrobili i dzieci kneblowali, bo były takie, że warmiński znaty, ale to były czysta Niemcy osiedlone. To był problem okropny u takiego dziecka, żeby rozumieć, co nauczycielka tam gada po polsku. Ale to liczenie to, jaki to był straszny kłopot, przecież w niemieckim języku wszystko się odwrotnie liczy, to ja jak liczyłem, to było coś straszego. Ja przez do 3. klasy już zacząłem chodzić i przyszła wojna, i już się skończyło niemieckie, ale do dzisiaj pamiętam wszystko. I to wszystko co tam się uczył, to wszystko znów kota ogonem, znów inaczej wszystko nie? No ale te co się już później urodzili — w 1940-1944 r. — to zaczęli się uczyć języka polskiego, a u mnie wszystko jeszcze do tyłu, jeszcze ten niemiecki siedział w głowie, to było straszne. Ja dużo łapał i dużo rozumiał, bo i z dziadkiem po naszymu tam zasuwał, ja całkiem inaczej wiedział, a siostra tylko 3 lata starsza była, a gabę otworzyła, mózi: Mama, was sagen Sie? (Co oni gadają?) Nic nie rozumiała. I zaraz po wojnie przyjeżdżali warszawiacy i z nimi trzeba było po polsku, ale oni kapowali, bo takie potamane słowa gadałem, ja tym warmińsko-niemieckim językiem, musiałem sobie to wszystko przekładać, także później przez to ja dużo lepiej mogłem normalnie, jak po polsku gadać. Przyszło już później to gadanie — może 5., 6. klasa — do 7. klasy jeszcze w Pluskach ja chodził. Ale ten kontakt z kimś mnie tak dokształcił, tak zawsze się troszeczkę nauczysz czegoś.

**Po polsku czy po warmińsku uczyli w szkole?**

Po polsku, po warmińsku nie znaleźliby nauczyciela. Jak u nas był taki nauczyciel, co on u nas kowalem był...

**A w domu dalej po naszymu się rozmawiało?**

Zanim wszystko nie wyjechało, to wszystko po niemiecku gadało w domu, ale dzieci po polsku, a po warmińsku te co umieli, to rozumieli.

## Olsztyn

**A jak dziadek szkołę w Pluskach skończył, to później na piechotę chodził do Stawigudy? Do pociągu trzeba było dojść, bo autobusy jeszcze nie jeździły wtedy po wojnie...**

Pierwsze początki piechotą się chodziło, później dostałem taki Bałtyk (rower). Po szkole to poszedłem do ogrodnictwa uczyć się na ogrodnika do Olsztyna, na ul. Osińskiego, a po niemiecku nazywała się Ziegelstrasse, co teraz jest to nowe osiedle tam przy ul. Warszawskiej. Tam były trzy normalne takie duże ogrodnictwa, bo to było w polu, tam były normalnie pomidory na polu sadzone. Prze rok czasu tam się uczyłem i zaczęli likwidować te ogrodnictwa, i polikwidowali.

**A później, co dziadek robił?**

Rozmaicie było. Ja i w Gryźlinach u ciotki mieszkalem. Ile, ja nie wiem, jedna zima... Bo latem to tu przyszedłeś do Plusk piechoto, ale jak śnieg do pasa, to ja spałem tam u ciotki w Gryźlinach. Jedną zimę u innej ciotki spałem, jak stare nadleśnictwo w Stawigudzie. To jak zimowa pora miałem narty, to na nartach ciach, ciach do domu, a w niedzielę wieczorem z powrotem. Z takiego małego worka to zrobiłem plecak: w te rogi na dole kartofle sznurkiem się zawiązało, żeby trzymało, i te weki (słoiki), co ja tam jedzenie z domu nabrał, i chleb cały pieczony taki wielki w róg, w ten worek włożył, na plecy, w ręce kije i z powrotem pod Stawiguda.

**Ale wtedy nie było jeszcze tej głównej drogi z Plusk do Stawigudy?**

Była droga do Stawigudy. I do pociągu jak się szło to tylko tak z lasu żeś wyszedł, pod górka i skosem prosto na gospodarstwo i tam się szło na skróty. Później tam rowerem jeździłem, komarem (motorem) jeździłem, też ten komar tam u gospodarza stawiałem i później biegiem, bo już z za rogu pociąg wyjeżdżał, jeszcze złapał za ostatni wagon i wskoczył, i się udało. Bo później by się było o jedną lekcję spóźniony. A późniejsze lata to i w Szczytnie rok byłem — tynkowałem dom kultury — później do Nidzicy jeździłem, później jeździłem z domu prosto przez Szwaderki tam do Żelazna, jakimi ja drogami jeździł...

**To jak to się stało, że dziadek murował, tynkował... Dziadek i na kowala się**

Fot.: budynek polskiej szkoły w Pluskach działającej w latach 1930-1937

**przecież uczył.**

To stara propaganda taka. Jak byłem w szkole, jako ślusarz się uczyłem, dostałem się do stolarni na pomocnika ślusarza.

**Ale to w Olsztynie ta stolarnia była? Gdzie to się mieściło?**

No w Olsztynie. Jak stary dworzec był, to po drugiej stronie w podwórko tak się wjeżdżało przy samych torach, ale to na dole. A teraz ten budynek to Archiwa tam są, a pod nim na dole stolarnia była. Ten budynek cały chodził, jak te maszyny pracowały na dole, ale likwidowali to wtedy, ileś tam zwolnili ludzi, a ja tam taki młody, to go raus nie? A tu, jak się jeżdżało na dół, to po lewej stronie były normalne ślusarze — tam robili tokarze i ślusarze — jednego z nich, co czworo dzieci miał, na moje miejsce dali, a mnie do domu. I później na Kętrzyńskiego poszedłem, robiłem roboty takie do cukrowni. Później poszliśmy z kolegą do MPRB (Miejskie Przedsiębiorstwo Robót Budowlanych) na murarzy i nie trwało może miesiąc i patrzym w gazecie napisane: w Ostródzie szkoła murarsko-tynkarska, rok się zaczyna — i poszliśmy tam. A po Ostródzie to później, już po ślubie, to już normalna stała praca w Olsztynie....



Fot.: tablica pamiątkowa na budynku polskiej szkoły w Pluskach



MARCIN WAKAR

## Fenomen „Pojezierza”



Gdy przed sześćdziesięciu laty grupa zapaleńców spotkała się na zebraniu założycielskim Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego „Pojezierze”, nikt nie spodziewał się, jak brzemienym w skutki się ono okaże. W krótkim czasie organizacja objęła swym zasięgiem cały region, a jej spektakularne działania były czymś niespotykanym w żadnym z krajów tzw. bloku wschodniego. Jubileusz „Pojezierza” jest dobrą okazją do przypomnienia jego najważniejszych dokonań.

W połowie lat 50. ubiegłego wieku w całej Polsce zachodził proces nazwany później „Odwilżą”, którego finałem było VIII Plenum KC PZPR w październiku 1956 r. Społeczeństwo uwierzyło wówczas w demokratyzację systemu i było pełne entuzjazmu („Wiatr odnowy wiał, darowano reszty kar, znów się można było śmiać” — śpiewał później o tamtych czasach zespół Perfect). Efektem przemian była m.in. krótkotrwała decentralizacja w działalności kulturalnej, która pozwoliła na tworzenie organizacji społecznych. Ten moment w sposób szczególny wykorzystano środowisko olsztyńskie.

Lokalna inteligencja, wciągnięta w wir wydarzeń, dyskutowała w różnych kręgach o powołaniu społecznej organizacji kulturalnej. Jedną z grup przewodził redaktor miesięcznika „Mazury i Warmia” (później pismo przemianowano na „Warmia i Mazury”) Henryk Świącicki. Skupiał wokół siebie młodych ludzi pióra, głównie dziennikarzy. W gronie tym znalazło się także trzech działaczy mazurskich, którzy niebawem zostali postami na sejm: Bohdan Wilamowski, Walter Późny i Gerard Skok. To właśnie Świącicki wpadł na pomysł utworzenia tygodniowego magazynu ilustrowanego. Brakowało tylko wydawcy. Wtedy Henryk Świącicki stwierdził, że trzeba założyć stowarzyszenie, które będzie wydawcą tygodnika. Do spotkania założycielskiego organizacji doszło 27 listopada 1956 r.: „[...] ja ze [Hieronimem] Skurpskim zostaliśmy zaproszeni na takie zebranie w ówczesnym Domu Młodzieży. Poproszono nas na drugie piętro, nie bardzo nam mówiąc, o co chodzi. I tam znalazło się 16 czy 17 osób, jak się okazało, zwerbowanych przez Świącickiego jako założyciele nowego stowarzyszenia” — wspominał w 2004 r. Władysław Ogrodziński. Poza wymienionymi wcześniej brali w nim udział jeszcze: Krystyna Garwolińska, Andrzej Rąb, Henryk Panas, Bohdan Kurowski, Roman Kogucki, Bronisław Gofębiowski, Stanisław Sawicki, Tadeusz Kopel, Andrzej Wakar, Andrzej Rąb, Stanisław Sawicki i Feliks Murawa. Na listę członków-założycieli Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego „Pojezierze” wpisany został, mimo nieobecności, Jerzy Putrament. Pierwszym prezesem został Hieronim Skurpski.

Głównym zadaniem, jakie postawili przed sobą założyciele, było oczywiście utworzenie tygodnika, który miałby finansować funkcjonowanie stowarzyszenia. Taka niezależność ekonomiczna była wtedy ewenementem. Tytuł tygodnika wymyślił Bohdan Kurowski, który, wzorując się na katowickiej „Panoramie”, zaproponował nazwę „Panorama Północy”. Mając pieniądze z czasopisma, stowarzyszenie planowało zająć się szerszą działalnością kulturotwórczą. Potrzebny był program działalności stowarzyszenia. Ten, w oparciu o część programu Wydziału Kultury Wojewódzkiej Rady Narodowej, stworzył Władysław Ogrodziński. Postawił na utworzenie działu wydawniczego stowarzyszenia, promocję turystyki kulturalnej i objęcie opieką niszczących zamków w Lidzbarku Warmińskim, Reszlu i Giżycku. Ponadto planowano działalność kulturalno-oświatową w oparciu o teren „Pojezierza”, gdzie zamierzano szerzyć idee regionalistyczne.

Dodatkowo celem „Pojezierza” była samowystarczalność finansowa. Domagano się tylko jednorazowej dotacji na rozpoczęcie pracy tygodnika wysokości 200 tys. zł, które otrzymano w dwóch ratach. Nad programem działania członkowie-założyciele debatowali aż do 26 marca 1957 r., kiedy to stowarzyszenie zostało formalnie zatwierdzone przez władze wojewódzkie. Aby aktywnie realizować cele statutowe, zdecydowano, iż zespół w składzie: Henryk Świącicki, Roman Kogucki i Bohdan Kurowski zajmie się redagowaniem „Panoramy Północy”. Sprawę turystyki i remontu zamków objął Henryk Panas przy pomocy Władysława Ogrodzińskiego. Roman Kogucki dość wcześnie został przeniesiony do zajęcia się sprawami wydawniczymi.

Pierwszy numer „Panoramy Północy” ukazał się w sierpniu 1957 r. w nakładzie 50 tys. egzemplarzy. Podstawowy cel „Pojezierza” został zrealizowany. Pismo spotkało się z wyjątkowo życzliwym przyjęciem czytelników całej północnej Polski i szybko zwiększyło objętość oraz nakład. Do stowarzyszenia zaczął płynąć szeroki strumień pieniędzy, dzięki którym można było realizować pozostałe założenia programowe. W krótkim czasie objęto opieką popadające w ruinę zamki w Lidzbarku Warmińskim, Reszlu i Giżycku, gdzie rozpoczęto prace konserwatorskie, a następnie działalność kulturalną i komercyjną. Jeszcze pod koniec lat 50. SSK „Pojezierze” przejęło od Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa” upadające pismo „Warmia i Mazury”, z którego wywodziła się większość członków-założycieli organizacji.

Pierwszy zamiejscowy oddział Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego powstał w 1959 r. w Bartoszycach. Kolejne otwierano w Lidzbarku Warmińskim,

Białymstoku, Reszlu, Młynarach, Elblągu, Bęsi, Dobrym Mieście oraz Barczewie i wielu innych większych lub mniejszych miejscowościach — głównie na Warmii, Mazurach i Powiślu. Niektóre z nich zaistniały tylko na chwilę, inne, jak te w Barczewie i Dobrym Mieście, funkcjonują do dziś. Większość oddziałów wzięta pod opiekę jakiś lokalny zabytek. Dzięki działalności SSK „Pojezierze” wiele z nich zachowało się do dziś w bardzo dobrym stanie, jak np. synagoga w Barczewie. Inne, utracone przez stowarzyszenie, popadły w ruinę, jak np. wiatrak w Bęsi, lub funkcjonują w prywatnych rękach, czego przykładem jest pałac w Galinach.

Niezależne i zamożne stowarzyszenie mające szeroki wpływ na kształtowanie się opinii publicznej zaczęło być solą w oku władzy już w 1961 r. Wówczas to odebrano stowarzyszeniu główne źródło finansowania — tygodnik „Panorama Północy” — przyznając stałe dofinansowanie działalności, które zaledwie po kilku latach wycofano.

Nie zniechęciło to aktywistów „Pojezierza”. Wciąż pojawiały się nowe inicjatywy — jedną z najważniejszych było powołanie naukowej placówki humanistycznej mającej zajmować się badaniami nad historią i teraźniejszością regionu Warmii i Mazur. Fundacja Naukowa SSK „Pojezierze” im. Wojciecha Kętrzyńskiego powstała w 1962 r. Na mocy umowy zawartej pomiędzy SSK „Pojezierze” a Polskim Towarzystwem Historycznym Fundacja przejęła z olsztyńskiej stacji PTH nie tylko zbiory książkowe, ale także dwóch pracowników naukowych: mgr. Janusza Jasińskiego i mgr. Danutę Wojewódkę. W związku z faktem, iż w socjalistycznym modelu państwa nie było miejsca na fundacje, zarząd stowarzyszenia zdecydował o zmianie nazwy placówki, przemianowując ją na Ośrodek Badań Naukowych im. W. Kętrzyńskiego. Oficjalną inaugurację OBN-u, która odbyła się 26 marca 1963 r., uświetnił odczyt prof. Stanisława Arnolda z Polskiej Akademii Nauk zatytułowany „Wojciech Kętrzyński i jego działalność naukowa”. Ośrodek, jako samodzielna jednostka, działa do dziś, a jego rola dla olsztyńskiej humanistyki jest nie do przecenienia. Był on kuźnią kadr, w której zaczynało wielu profesorów, w tym m.in. były rektor Uniwersytetu Wrocławskiego prof. Wojciech Wrzesiński czy aktualny prorektor Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego prof. Grzegorz Białuński.

Kolejną bardzo ważną inicjatywą SSK „Pojezierze” było powołanie wydawnictwa książkowego. Do 1973 r. funkcjonowało ono jako dział wydawniczy, który pod kierownictwem Andrzeja Wakara uzyskał status przedsiębiorstwa SSK

„Pojezierze” posiadającego osobowość prawną, konto i odrębną księgowość. W Wydawnictwie „Pojezierze” publikowali wszyscy liczący się autorzy, nie tylko z regionu Warmii i Mazur. Ukazywały się również zabytki literatury w ramach serii „Literatura Warmii i Mazur w dawnych wiekach”. Swoje poezje publikował m.in. popularny w owych czasach Edward Stachura, a książki dla młodzieży i powieści erotyczne wydawał Zbigniew Nienacki. Wydawnictwo, do upadku w 1991 r., wydało blisko 500 tytułów o łącznym nakładzie prawie 8,5 mln egzemplarzy.

Niewielu dziś pamięta, że to SSK „Pojezierze” wybudowało olsztyńskie planetarium wraz z pomieszczeniami na galerię sztuki współczesnej i kawiarnię „Andromeda”, w której dziś mieści się biblioteka. Warto wspomnieć też Placówkę Twórczo-Badawczą Pracownia, która powstała w strukturach stowarzyszenia, by później przekształcić się w Teatr Węgajty.

Nie sposób wymienić w tak krótkim tekście wszystkich, którzy z „Pojezierzem” byli przez te sześć dekad związani, a przecież warto. Trudno też opisać wszystkie dokonania. Ważnym jest fakt, że stowarzyszenie, obecnie pod kierownictwem prezes Marii Skurpskiej, wciąż jest aktywne, a jego działaniom przyświeca od 1956 r. troska o kulturę i dziedzictwo regionu Warmii i Mazur. To w strukturach „Pojezierza” właśnie działa chór Collegium Baccalarum, którego występ uświetnił jubileusz 60-lecia.



KAJA WILENGOWSKA

## Jesteście na goodbye'u, a ja na głodzie

Zjadłbym coś — zjadłbym chociaż batona, cokolwiek, zjadłbym coś więcej niż śnieg, coś dobrego.

— Mister Bear, mister Bear! Zaczekaj na mnie!

Gorącego gofra z frużeliną z malin, takiego z Monciaka latem, chrupiącego i nadętego, zjadłbym.

— Hej, zaczekaj proszę...

Idę, przesuwam się raczej, śnieg po tydki, a za mną goni jedna taka... cała jakby w szaliku, sztruksach zielonych, kurtce po starszym bracie i czerwonej czapie, cała taka rozbiegana, jak nie ja, a mnie goni przecież, mogłaby tyłem szurać i tak byłaby szybsza.

— Mister Bear, bo ja... cześć właściwie, no cześć, gdzie idziesz? Aha, nieważne, bo ja właśnie pomyślałam, że może chciałbyś, może mógłbyś... no dobra, ja chcę... chcę Cię do kina zaprosić, no właściwie to do dekaefu w piątek o siódmej, tu niedaleko, w Wudeku, wiesz zresztą, bo czasem Cię tam widzę, ale teraz to ja zapraszam... Uff... Poszło. Zgoda?

Rozbiegane oczka śledzą moją nieruchomość, wyczekująco jak twierdzą. Zjadłbym nawet węgierskie kamyczki, taki jestem głodny.

— Jaki film będzie? — Sprawdzam, bo przecież mam program dkfu w małym.

— Z cyklu kino hippiczne — *Konformista* Bertolucciego.

Żarcik. Nie poraził mojej nieruchomości mimo jej pełnogębka na rumianym licu. Konia bym nie zjadł.

— No tak, no dobrze... Będę za piętnaście siódma przy wejściu, to raczej nie hit miesiąca, czyli będą miejsca. Cześć, Barbaro.

Odwrociłem się od tego uśmiechu i jej błyskotliwych jedynek, dwójek, trójek, czwórek, a nawet chyba widziałem szóstki. A ja w ten śnieg, brnę dalej, byle do jakiegoś jadła. Pajda ze smalcem nawet może być albo ekler. Coś.

W piątek za piętnaście siódma ja i dwa wafle Grzeški (trzy właściwie, bo trzeci schowany na dnie torby, ale dwa to tak oficjalnie, podzielię się z Barbarą, mam gest) przy wejściu do Wudeku natykamy się na jej przydługą szal.

— Mister Bear, miło, że jesteś, kupiłam dla nas bilety. — Wyciąga w moją stronę karteczki z ręcznie wypisanymi biletami.

— Witaj Barbaro, usiądźmy już w fotelach, ja też coś mam dla ciebie. — No tak wykwinnie zacząłem, a to tylko wafel, a nie krezusi sznyt. Przekazałem go. W wyremontowanej sali stała setka domowych foteli, na tyle szerokich,

że nie zahaczałeś o łokieć sąsiada. Usadowiliśmy się z Barbarą w trzecim rzędzie, pustym i zapewniającym widoczność nam, krótkowidzom. Odwinęła się z szalika i było jej jakoś więcej.

— Napijesz się czegoś? Idę po kawę do automatu.

— Herbatę poproszę. — Chyba się ucieszyła z tego wafła albo z tego, że wychodzę i dam jej chwilę odetchnąć, wymyślić zagajenia i poprawić makijaż. Też mnie to stresowało, zazwyczaj chodziłem do kina sam. Nie lubię tego szepotu, pogawędek podczas seansu, tego odwracania uwagi od filmu, właściwie sam nie wiem, dlaczego zgodziłem się na kino z Barbarą... Wyszedłem zapalić, przywitać się z panią Wiesią, szefową dkfu, pogadać jak zawsze z chłopakami sprawdzającymi bilety, kupić herbatę dla B. i kawę dla siebie, i już. Dziesięć po siódmej, kiedy podjechała siedemnastka, a z niej wylał się symboliczny tłum w postaci zaaferowanej pary licealistów, Pani Wiesia dała sygnał startu, a ja zasiadłem obok dziewczyny, na swoim dawno przecież wyמושczonym miejscu, moim miejscu.

Ciamkała, mlaskała, wiecie, co to znaczy... W ciszę kinowego seansu dla ambitnych wrzuciła mlaski i szelest grzeskowego opakowania. Nasłuchiwałem ze zdumieniem. Do czego to podobne? Do kruchego francuskiego z cukrem, takiego jak w grzebieniach, do bezy w niektórych momentach i czasem trzeszczało jak creme brulee. Nic nie pamiętam z *Konformisty*, wciąż w głowie słyszałem tylko jej wnerwiające dźwięki.

Po filmie szybko rozstałem się z Barbarą, pojechałem do domu, po drodze zahaczając o społemowski sklep. Od razu zabrałem się do roboty. Ciasto zagnieść, rozwałkować, posmarować marmoladą, grzebienie ponacinać, do piekarnika 180 stopni... cukrem grubym posypane, chrup, chrup... Białka, bialecza z cukrem ubijać, troszeczkę mąki ziemniaczanej, takie chrup, chrup kruche beziki już z piekarnika... I creme brulee, hmm... ubijać śmietankę, to i tamto, i chrupiąca skórka po opaleniu trzaskała po północy. Ach, te dźwięki, powtórzyłem Cię, Barbaro, w ciszy blokowej kawalerki, powtórzyłem! Chrupałem, mlaskałem z namaszczeniem, trzeszczałem jak trzeba — z rozkoszą...

W weekend dojadłem pyszności sam i szczęśliwy, we wtorek spotkałem Barbarę i jej szalik w bibliotece. Snułem się między Sartrem a Mastertonem, gdy dźwięczny szepł zagaił:

— Jak się masz, Mister Bear? *Mdłości* czy coś o miłości? — Zauważyła

moje rozterki, zawstydzony bąknąłem, jak się bąka w podstawówce.

— Barbaro, może kino wieczorem?

— W Koperniku dzisiaj *Wieczna miłość* — wyparowała, chociaż właściwie to stała ciągle wśród książek i szalika, a ja też zamiast wyparować, zgodziłem się na spotkanie o ósmej.

Wieczorem już siedzieliśmy w kinowych fotelach, sklejka rozkładana, sala na osiemset miejsc i no może ze dwudziestu widzów, w tym my. Nie przyniosłem nic słodkiego, dziś dam się zaskoczyć. Siedzimy w kurtkach, zimno. Ona oczywiście w szaliku, ja prawie romantycznie, nie mieszcząc się w swoim siedzisku, dotykałem kolanem jej nogi. Nie żebym smyrał specjalnie jej miękkie, chyba, uda, niechcąc dotykałem, acz dwuznacznie. Z ekranu wybrzmiało znaczące *Muss es sein?* i Beethoven w dolby surround, a ja przysłuchiwałem się Barbarze. Chlipała, mięciutko mlaskała, przetykając tzy, drżał jej oddech... W chłodzie ogromnego kina zdawała się jedynym ciepłym punktem, puchaty szalik i rumiane policzki, i kocie pochlipywanie... Odstręczająca miękkość, jaki to dźwięk?

Wracałem sam z ciężarem i smutkiem braku pomysłu. Co to było? Mleczna pianka czy może sernik na zimno? Ale nie coś ciepłego gdzieś w tym jeszcze... Jak Kopiec kreta, jak rozlała czekolada albo budyń. Dotarłem do domu, przywołując to chlipanie, stworzyłem ciastko niezwykle... Czekoladowy biszkopt, rozplywająca się czekolada ukryta w jeżynowej galaretkie i biała, mleczno-serowa pianka... Wzruszająca poniekąd słodycz, pochlipywałem, ociekałem nią, miękką i drżącą... Powtórzyłem Cię, Barbaro, w hermetyczności mojego języka, powtórzyłem! Rozplywasz się we mnie.

Rano sam zadzwoniłem do B. — kino wieczorem, tym razem radosna *Mulan* w Polonii. Animacja dla dzieci nie stworzy z nas pary, więc byłem bezpieczny, siedząc w ósmym rzędzie i gapiąc się na kryształowy żyrandol. Ogromny, milion chyba kropelek zwiślało nad moją głową i już widziałem jak spada... Może jedna śrubka się oblużowała, może jutro nagłówek w „Gazecie Olsztyńskiej” przywołają tragedię: „Śmierć kinomanów!, Kryształowy seans filmowy!, Polonia sypie kryształem!”. Ok, ok, nie zamierzam tu ginąć, przesiedziałem w napięciu przy uśmiechniętej Barbarze, radośnie wciąż uchichraanej. Przygody młodej wojowniczkii wyraźnie przypadły jej do gustu, pewnie by chciała przytulić tę Mulan, oj, oby nie mnie. To było proste. Wieczorem jadłem łabądkę z ciasta ptysiowego z kolorowymi kremami. Ujmujące, hi hi, ułamaną główkę łabędzia zanurzyć w pistacjowym kremie, zanurzyć w jagodowym i dopełnić radosną pomarańczą. Twoje przytulanie, hi hi, Barbaro z łabędziami



Rys. Piotr Tymcio — Państwowe Liceum Plastyczne w Olsztynie

powtórzyłem, na dywanie powtórzyłem, uleciałem.

Do *Grunwaldu* nie zdążyliśmy, kino zamknęli, zanim spotkałem Barbarę znowu. Kiedy odwiązała się z szalika, zamykali kino Polonia, dkf płowią, a Kopernika zamknęli i tak. Zapraszała mnie do studyjnej Awangardy i tam na *Czerwonym* Kieślowskiego dopełniłem się. Ułożyłem jak reżyser swoich bohaterów trylogii, wyłowilem z morza swój dar, zadźwięczała ciszą burczącego brzucha. Wieczorne pieczenie, nocne eksperymenty ze słodyczą i dźwiękiem uczyniły ze mnie mistrza. Znałem już wszystkie tajemne smaki — łączenie, metody i ekwilibrystyka pragnień mojego podniebienia podbijana samą obecnością Barbary i kinem wywiodła mnie na swój piedestał. Słodyczy i splendoru! Jesteście na goodbye'u olsztyńskie kina! Jesteście na wypowiedzeniu! Pożegnalne całusy i pa. W multipleksie z klimą nie styszę już chrupania, mlaskania, uduchowionego przetykania też. Powtórę Cię, Barbaro, u siebie Cię powtórzę.

Kiedy przenieśli Awangardę, otworzyłem cukiernię w jej miejscu. Bergmanówki schodzą na pniu. Barbara jada je tylko jesienią.



KATARZYNA MATWIEJCZUK

## Drzewo Ananasowe – fragmenty



### ŚCIEŻKI CIAŁA

Miałam sześć lat, patrzyłam w lustro w łazience i myślałam, że właśnie tak wyglądają wszystkie dzieci na świecie, że moja twarz jest absolutnie średnia. Nie wyróżnia się zupełnie niczym. Kilka tygodni później miałam zacząć nieprzyjemnie wyróżniać się okularami.

Poza tym żadne dziecko w zerówce nie złamało nosa ani nie miało tak małych oczu.

Nigdy go nie poznam, myślę o nim za dużo, męczy mnie od rana, przeraża mnie i przestrzega.

Parzący żółtek, głowa, podkrążone oczy, skórki przy paznokciach, nerwowo gładzone płatki uszu (aksamitność uszu – własnych, cudzych, kocich, psich, nawet tych jedwabistych grzybów przypominających małżowiny uszne, rosnących na próchniejących drzewach, przynosi dziwną ulgę), złamany nos, zimne stopy.

Wymyślanie – będę chłopcem z romantyczną fryzurą, który chciałby być piękną brunetką o wielkich oczach, która chciałaby być chłopcem zdobywającym szczupłe, piegowe dziewczyny. A jestem ciągle tutaj, coraz bardziej lubię to miejsce.

Ciemne i bagniste.

Zawsze zaskakujące, swoje i nieswoje. Pozszywane z kawałków nieznanych przodków. To nie jest oczywiste. Przesuwając językiem po zębach, dłonią po udzie, polykając krew, patrząc w lustro, przecierając oczy. Pocąc się i przytulając, próbując precyzyjnie się wąskim korytarzem w pociągu pomiędzy innymi ciałami, żeby tylko ich nie dotknąć, leżąc w nocy z otwartymi oczami, marząc, żeby go dotknąć, marząc, śliniąc poduszkę. Ciało przemierza ścieżkę jak kamień wyrzucony z procy. Nigdy nie było łatwo o tym mówić, może łatwiej jest mówić o duszy, o ideach, o tym wszystkim, co niepewne. Łatwiej napisać piosenkę o spotkaniu przy Księżycu, o Bogu, o kraju lat dziecinnych niż o zapachu skóry, dotyku palców, o obejmowaniu własnego ciała. O tym, jaki wyraz potrafią przybrać bosa stopy. A przecież tutaj się zaczyna. Wszystko, co się liczy, zostaje zapisane na ciele.

### OŚ ŚWIATA

Zastanawiałam się, dlaczego śpię na lewym boku, na lewym policzku. Inaczej – rzadko. Przypominam sobie. Budząc się tak, widziałam okno pod

takim kątem, że za nim było tylko niebo i tańczące gałęzie jesionu. Gałęzie mówiły od razu, jaka dziś pogoda, jaki jest świat na zewnątrz i czy w ogóle warto wstawać. Czarne krechy miotane wiatrem (listopad). Falujące na wietrze, jasnozielone na tle najmłodszego błękitu (kwiecień). Zielone, ciężkie, bez ruchu, mocno niebieskie, napęczniałe słońcem niebo za nimi (maj, maj, maj, wspomnienie tak intensywnego szczęścia, że nic, ani przedtem, ani później, ale każdy maj powtarza i obiecuje, łóżko jest to samo, ale widok inny, niebo inne, oczy te same).

Nawet jeśli nie na jesionie wisiał Odyń, jeśli to nie jesion jest Drzewem Świata pnącym się koroną w dół, Jesion jest Osią mojego świata.

A kiedy budziłam się na prawym boku, widziałam polityczną mapę świata z wielkim, różowym Związkiem Radzieckim.

### „WISTOŚĆ TYCH RZECZY JEST NIE Z ŚWIATA TEGO”

Ujeżdżam rzeczywistość. Twardo ścisgam ją między kolanami, żeby się nie wymknęła, nie zrzuciła gdzieś poza. Kolana boją, uda boją. Ona ma twarde grzbiet. Jest Koniem Bez Imienia, nie wiem, kim jest, nie wiem, czy jest, muszę się tylko mocno trzymać.

Śpiąc, śniąc, ziewając, przestępując z nogi na nogę, jedząc, karmiąc ręką innych ludzi, śpiewając i trzęsąc się z zimna, lawirując między ludźmi, garbiąc się, telefonując, jedząc jabłko, uśmiechając się, wrzeszcząc, mając nadzieję, będąc.

### TKANIE – UTYKA, NIE?

Poetka – taka, co słowa tka i tka, a nawet utyka po kątach i czasem umysłowo utyka, chromieje, ale promienieje. Tka gobelin słów, gobelin znaczeń, żmudne snucie na krosnach. Jak Pani z Shalott, zamknięta w swojej Wieży, wierzy, że to jest jej los, że oglądanie świata w zwierciadle i tkanie w wieży, obtykanie kątów mchem i wełną, żeby nie wiało, wicher ducha, żeby nie dmuchał, to jest sens i tak już będzie, i tak toto tak, i tka i tka, poe-tka, aż...

...zjawia się Lancelot, lustro pęka, nić wypada z dłoni, Wieża się rozpada. Tylko takie uderzenie miłości, uderzenie Piękna może rozbić życie jak zwierciadło, potłuc na bolesne odłamki, ale tylko takie uderzenie sprawia prawdziwą sztukę, tukę, tuk, stuk-puk, pęka opukiwane serce z granitu, z marmuru rodzi się nowa Poetka, biała, krucha i niezwyknięta.

### MATKA ZNACZY PODRÓŻ

Po fińsku podróż to „matka”. Jabłko – „omena”. A Finlandia – Suomi. Lubię fiński, bo jest tak daleki, choć tak blisko. Pozwala spojrzeć z dystansem na przesiąkniętą łaciną Europę.

Ale matka to podróż, zawsze.

Podróż na ten świat – gdziekolwiek byśmy umieszczali stację początkową, w nicości, w łańcuchu poprzednich wcieleń, w kosmicznej konieczności. Tu jest wysiadka i koniec, można się wściekać i po freudowsku uciekać, ale wyrzucenia na peron ziemski nie można cofnąć.

Moja Mama i jej mama podróżowały dużo, jak na tamte czasy, ze Wschodu na Zachód, z Północy na Południe, mnie się to zawsze wydawało naturalne, że trzeba się przemieszczać, że bliscy są daleko.

Kiedy rosłam, dziwiłam się, że niektórzy całe życie wzrastają w jednym miejscu, wrastają.

Pociągi kołysały mnie przed urodzeniem i niedługo po, i potem już zawsze, i jeszcze będą, bo tam znajdują spokój, najczęściej tam, w żelaznej melodii szyn, w zapachu brudnego metalu, w matczym kołysaniu wagonu. Wielu ludziom wydaje się dziwne, że można lubić kolej w Polsce. Ja lubię, bo najpiękniejsze chwile spędziłam z Mamą na dworcu.

Nie mieszkając, najczęściej czekając. Nieistniejący już dworzec główny w Katowicach był w pierwszej klasie podstawówki co piątek moim domem na dwie godziny. Jeździłam sobie schodami ruchomymi w górę i w dół, Mama kupowała mi komiks, prażynki ziemniaczane, a sobie kamyczki i nigdy nie stała nam się krzywda, ani techniczna, ani dietetyczna, ani literacka. Grałyśmy w gry słowne, pisane i mówione, oglądałyśmy używane książki, używanych ludzi, ławki były stare, z małymi przerwami między drewnianymi listewkami, komunikaty z głośników płynęły melodyjnie, a pociąg do Krakowa przyjeżdżał. Szkoda.

Były inne dworce, inne podróże, ale takich ruchomych schodów i prażynek już nie. Na wszystkich dworcach świata moja Mama i ja nosiłyśmy brzydkie okulary. Teraz Mama ma ładne, ja żadnych. Nadal jest dużo pociągów, jazd w górę i w dół mapy, mnóstwo liter pochłanianych w podróży. Oglądanie ludzi, siebie w podróży. Wewnątrz pozostają (my), niewinni, naiwni, zaskoczeni upływem lat. Nie wierzę, że mama Mamy, Babcia z góry mapy, ma osiemdziesiąt cztery lata. Ona też nie. „Ja w środku mam piętnaście, chciałabym zrobić komuś jakiś kawał”.

84. Mój rocznik, wiek Babci, co znaczą liczby?

Jazda!

## Płatki – fragmenty

\*\*\*

Poezja jest tym niewidzialnym  
Morzem, co huczy  
Za krawędzią wzroku.

\*\*\*

Garść ptaków rzucona w niebo  
Krąży nad doliną  
Bezładnym kregiem

\*\*\*

Ciemny stukot kół  
Po ścianie przedziału  
Przechodzi powoli latarnia

\*\*\*

Obłok  
wstaje z ciemności  
pomiędzy drzewami  
Powoli idzie w dół stoku

KATARZYNA MATWIEJCZUK, urodzona w 1984 roku w Szczecinie, wychowana na Jurze Krakowsko-Częstochowskiej, zamieszkała w Jedzbarcu na Warmii. Z wykształcenia filmoznawczyni po UJ, z zamiłowania pieśniarka ludowa. Publikowała (jako Katarzyna Gąsior) m.in. w „Kwarta-Iniku Filmowym”, „Kulturze Współczesnej”, „Muzyce w Mieście”, „Opcjach”, „Studiach Filmoznawczych” oraz kilku tomach z serii wydawniczej „Literatura na Ekranie”. Od 2016 roku prowadzi wraz z mężem ekologiczne gospodarstwo zielarskie. Laureatka konkursu Olsztyński Debiut 2016.

MAREK BARAŃSKI

## Mazury nominowane do Oscara

Po raz pierwszy Mazury nominowano do Oscara w 1963 r. w postaci filmu *Nóż w wodzie* Romana Polańskiego. Była to zarazem pierwsza nominacja polskiej kinematografii do nagrody Amerykańskiej Akademii Sztuki i Wiedzy Filmowej za najlepszy film nieangielskojęzyczny. *Nóż w wodzie* przegrał w konkursie z *Osiem i pół* Federica Felliniego.

Tym samym przegrały jeziora: Mikołajskie, Kisajno, Jagodne i Śniardwy, bo to na ich wodach powstawał debiut filmowy Romana Polańskiego. Gdy rozpoczął zdjęcia 24 lipca 1961 r., nie miał jeszcze 28 lat. Początkowo on sam był pretendentem do głównej roli chłopca-autostopowicza, którego zamożne małżeństwo zabiera na jacht.

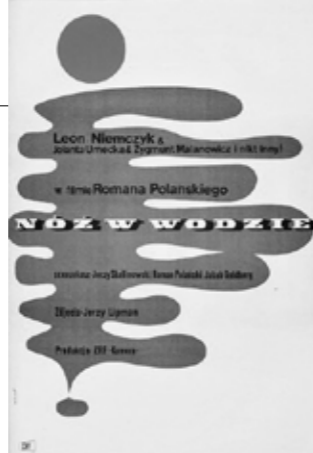
Jak ustalił prof. Marek Hendrykowski, pomysł wystąpienia we własnym filmie wybitny reżyserowi z głowy kierownik zespołu „Kamera” Jerzy Bossak. Okazuje się, że nie do końca. Polański wprawdzie w roli tej obsadził Zygmunta Malanowicza, studenta łódzkiej filmówki, absolwenta II Liceum Ogólnokształcącego w Olsztynie, ale nie był zadowolony z jego głosu i podczas nagrywania postsynchronów podłożył mu swój. Ale to nie koniec podkładania głosu w tym filmie.

Jolantę Umecką dubbingowała, włącznie z wykonaniem piosenki do słów Agnieszki Osieckiej, Anna Ciepielewska. Jak podaje *Mazury. Słownik stronniczy, ilustrowany*, Umecką w scenach kąpeli w jeziorze dublowała córka rybaka z Mikołajek. Dialogi do filmu pisał Jerzy Skolimowski, jednocześnie współscenarzysta (obecnie zamieszkały na Mazurach, w okolicy Pasymia), i on również pretendował do zagrania głównej roli w „Nożu w wodzie”.

Przegrany jest także jacht „Christine”. Jego prawdziwa nazwa to „Rekin”. Niszczycze w hangarze giżyckiego „Almaturu”. Skąd tam przybył? Jak podaje Adam Bartnikowski na portalu „Moje Mazury”, trafił tam tuż po wojnie z Ogonek nad jeziorem Świącaytu. Mógł należeć do Georga Teppera — miejscowego właściciela ziemskiego, pasjonata żeglarstwa, zwłaszcza lodowego.

20 września 1963 r. na okładce amerykańskiego tygodnika „Time” ukazał się kadr z *Noża w wodzie* z Umecką i Malanowiczem.

Roman Polański poświęcił temu filmowi kilka stron w swojej biografii pt. *Roman by Polanski* (1984). Wspomina, że w 1961 r. lato było zimne i dżdżyste. Ale to nie była jedyna fatalna okoliczność tamtego roku. Kiedy Polański



Plakat filmowy Macieja Hibnera, 1962 r.,  
*Nóż w wodzie*

przebywał na Mazurach, dotarła do niego wiadomość o śmierci przyjaciela — wybitnego reżysera filmowego Andrzeja Munka. Na Mazurach dowiedział się o romansie żony Barbary Kwiatkowskiej z włoskim reżyserem Gillo Pontecorvo. Mało brakowało a reżyser na Mazurach straciłby życie. Po zakończeniu zdjęć, na początku listopada, podczas jazdy powrotnej do domu, jego samochód na ostrym zakręcie wpadł na mokrych liściach w poślizg i uderzył w drzewo. Polański z pęknięciem podstawy czaszki trafił do szpitala. Po *Nożu w wodzie* zdecydował się na opuszczenie Polski. Następnym filmem w kraju, *Pianistę*, nakręcił dopiero 38 lat później.

Prze te lata Polański był daleko od Mazur, ale w jednym filmie przybliżył się do nich symbolicznie. W 1967 r. zrealizował pastisz horroru „Bal wampirów”. Bohaterami filmu są prof. Abronsius, wybitny znawca wampirów, i jego asystent Alfred (Roman Polański). Przybywają oni do zaśnieżonej Transylwanii, by szukać śladów wampirów. Obaj naukowcy przyjeżdżają z... Królewca, gdzie na tamtejszym uniwersytecie zajmują się wampirami.

Po raz drugi Mazury nominowane były do Oscara w 1966 r. Konkretnie — jezioro Kirsajty, które imitowało Nil w *Faraonie* Jerzego Kawalerowicza. *Faraon* przegrał z *Kobietą i mężczyzną* Claude'a Leloucha. Ale ponieważ na Mazurach wszystko łączy się ze wszystkim: Kawalerowicz rywalizował tamtego roku w kategorii najlepszego filmu nieangielskojęzycznego również z wymienionym wyżej Pontecorvo, którego *Bitwa o Algier* też była nominowana. Mam wrażenie, że tę opowieść można snuć bez końca. Zachęcam innych autorów do jej kontynuowania. I proszę tu zajrzeć: <http://baranski.wm.pl/?p=269>



Okładka „Time'a” z kadrem z filmu *Nóż w wodzie*

WALDEMAR TYCHEK

## Polityka jest kobietą

W obecnych, jakże trudnych dla mężczyzn czasach nabieram przekonania, że ci, którzy twierdzą, iż probierzem prawdziwego mężczyzny jest polityka — zdecydowanie nie mają racji.

Polityk zdecydowanie bardziej przypomina kobietę w swej nieokreślonej tajemniczości sądów niż prawdziwego mężczyznę. Kiedy mówi „tak”, to znaczy to najprawdopodobniej „być może”, kiedy z kolei mówi „być może”, to tak jakby ustami kobiety mówił „nie”, a kiedy mówi „nie”... — no to wtedy w ogóle nie jest żaden polityk. Prawdziwego mężczyznę natomiast poznaje się przede wszystkim po tym, że potrafi tak sformułować pytanie, aby kobieta mogła na nie odpowiedzieć wyłącznie twierdząco. Mówi się też, że prawdziwy mężczyzna z zasady jest głową rodziny, natomiast polityk, kiedy się na niego spojrzy — od głowy bardziej przypomina kota, co to pełen dystynkcji siedzi z obojętną miną na



Rys. Milena Danowska — Państwowe Liceum Plastyczne w Olsztynie

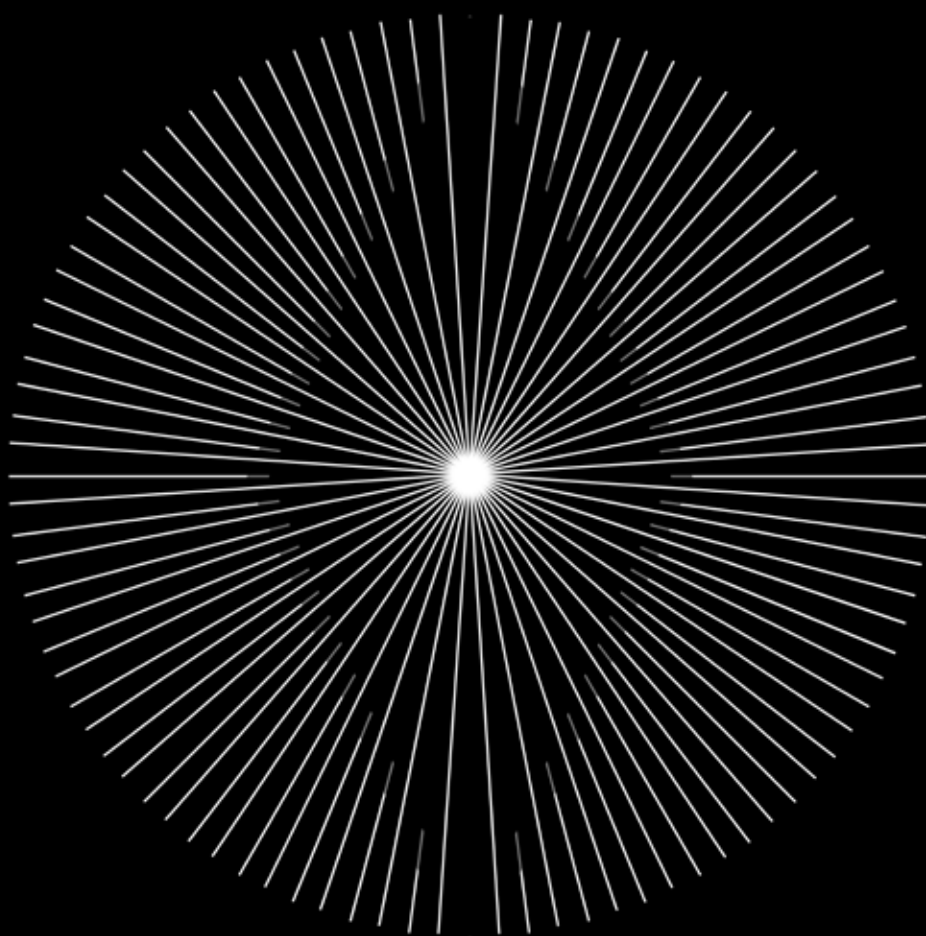
płocie, ale ucho to ma przy samej ziemi. A która z prawdziwych niewiast bardziej od prawdziwego mężczyzny wołałaby kota, w dodatku z oddzielnie szwendającym się i uwalanym w błocie uchem?

Prawdziwy mężczyzna doskonale orientuje się, co społeczeństwu jest najbardziej potrzebne do szczęścia, a mianowicie: podatki sprzed pierwszej wojny światowej, ceny sprzed drugiej i zarobki sprzed denominacji. A polityk? Każdy z nich chciałby być uznany przez społeczeństwo za proroka, co w obecnych czasach nie jest zbyt wyszukaną umiejętnością — wystarczy jedynie głośno mówić, że będzie coraz gorzej. Przed laty jeden z bardziej znanych naszych polityków wyjaśniał, na czym polega owa polityka: ano powinna być prowadzona tak, żeby lud dostawał zastrzyk, ale nie czuł ukłucia. Po czym wielce zadowolony z własnej przenikliwości cały pokraśniał na ciebie i gębę, że patrzeć na niego można było jedynie przez słoneczne okulary.

Prawdziwy mężczyzna nie pała do polityki sentymentem nawet nie dlatego, że w jej uprawianiu przez polityków prima aprilis co prawda zaczyna się zawsze 1 kwietnia, ale kończy się 31 marca roku następnego. On po prostu wie, że, ponieważ demokracja ma się przekładać na wszystkie sfery życia — począwszy od małżeństwa, a skończywszy na szeroko rozumianych relacjach społecznych — ona nigdy nie zwycięży. Bowiem już w małżeństwie rzadko który facet może mówić, co mu się podoba i w dodatku musi słuchać tego, co mu się nie podoba.

Pewien mój znajomy, który w swoim życiorysie miał epizod związany z polityką, w chwilach towarzyskich uniesień zwykły mawiać, że w polityce, jak w zegarze ściennym, za cyferblatem ukrywa się wahadło. A ono, jak wszyscy doskonale wiemy, jest dalekie od pożądanego stabilności. Na przykład — każdy zegar za dzieśnię drugą się śmieje, ale już niecałe dwie godziny później, czyli za dwadzieścia czwarta, jest porządnie zmartwiony. I tak to się dzieje na okrągło, aż przyjdzie zegarmistrz światła i nas wyzwoli.





**ŚWIĘCIE**  
**HOCH UND HEILIG**